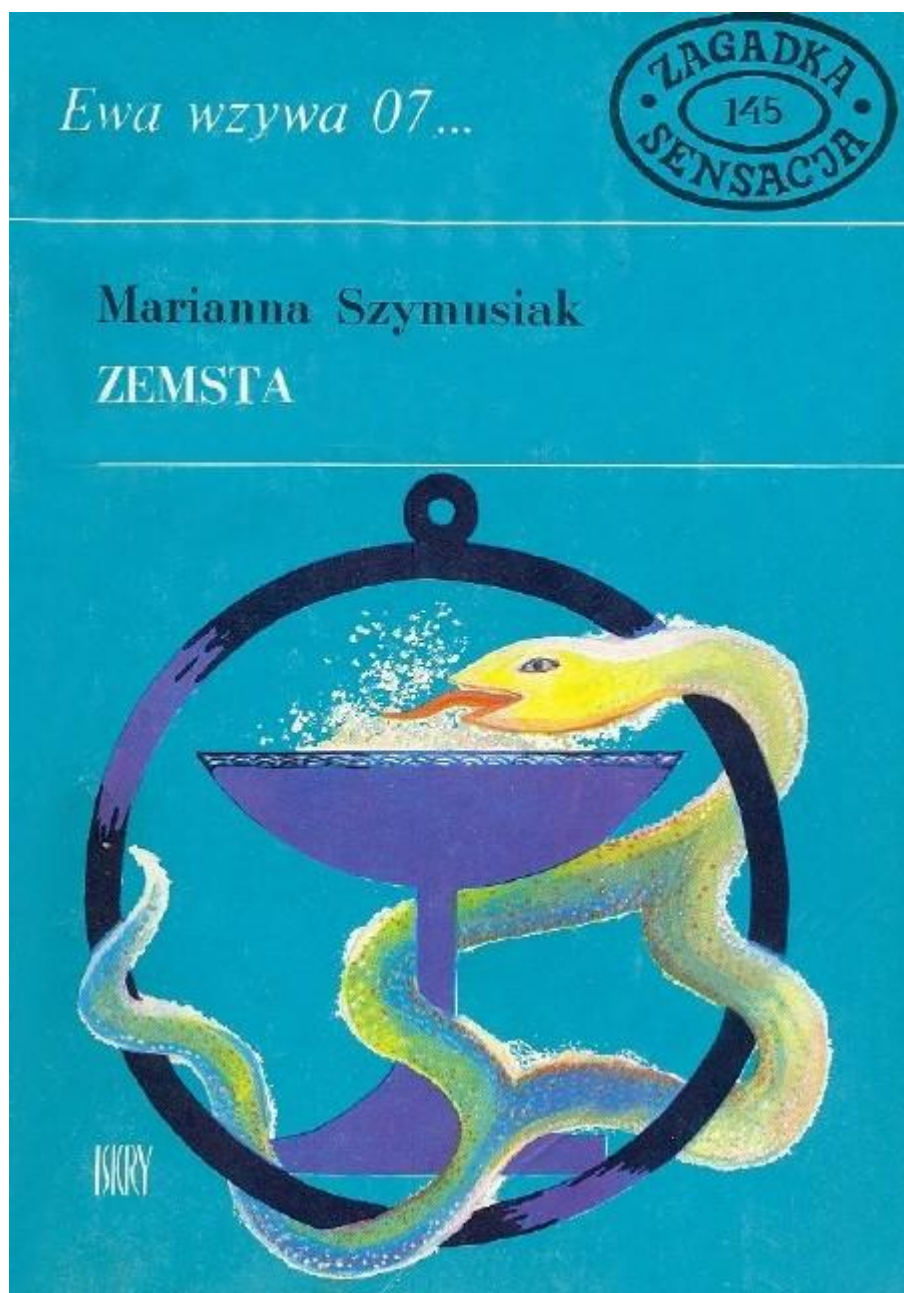


Ewa wzywa 07... Ewa wzywa 07

Marianna Szymusiak ZEMSTA



ISKRY- WARSZAWA - 1988

Zerwała się z łóżka gwałtownie i po omacku zaczęła szukać kapci. Dzwonek u drzwi dzwonił już bez przerwy, niczym na alarm. Martyna nadal szukała kapci, jakby było to akurat najważniejsze. Wreszcie wstała. Półprzytomna szła, potykając się w ciemnościach o meble.

—Nie bój się, nikt nie umarł — usłyszała za drzwiami świszczący szept siostry.

Wiedziała więc to, co było najważniejsze — nikt z bliskich nie zmarł — a jakoś nie mogła poradzić sobie z zamkiem. Metalowa gałka wyslizgiwała się ze sztywnych, zdrętwiałych palców'. Jeszcze zasuwa i łańcuch. Drzwi otworzyły się z nieprzyjemnym piskiem zardzewiałych zawiasów.

—Natychmiast uciekaj — wyświszczała siostra szeptem. — Ryśka zabrali. Wzięłam samochód ojca. Zawiozę cię do Śliwińskich. Ubieraj się migiem.

Nic z tego nie rozumiała. Dała się jak dziecko poprowadzić za rękę w głąb mieszkania.

—Dlaczego szepczesz? — spytała siostrę, zajęętą wyrzucaniem jej rzeczy z szafy wprost na podłogę.

—Nie wiem, co mi się stało — wyjaśniła, nie przerywając wyrzucania ubrań. — To chyba szok. Nie mogę wydobyć z siebie głosu. Ubieraj się w najcieplejsze rzeczy. Mogą zaraz po ciebie przyjść.

—Dlaczego mają po mnie przyjść? — spytała zdumiona, usiłując przebić się przez pustkę w głowie.

—Zabierają wszystkich — wyświszczała siostra. — Rysiek też o to ich pytał...

—Jakich „ich”? — przerwała.

—Tych z ZOMO. Byli w skórzanych kurtkach i z łomem.

—Po co im łom? — przerwała znowu, czując zimne dreszcze.

Siostra chwyciła się za szyję, pokazała ręką, że nie może mówić i zaczęła ze stosu ubrań wyjmować grube swetry.

—Daj dużą torbę — wyświszczała z wyraźnym trudem. — Nie stój, na li-
tość boską. Wkładaj ciepłe rzeczy. — I ni stąd, ni zowąd rozplakała się, klęcząc
przy rozrzuconych ubraniach. — Jest jakaś wojna — wyszeptała, starając się
opanować płacz.

—Wojna... — powtórzyła za siostrą i nagle jak smagnięta biczem rzuciła
się do ubrań. Nie zważała, co na siebie wkłada. Podbiegła do okna. Szeroka Mar-
szałkowska była zupełnie pusta i cicha. Zaczął padać śnieg, jeszcze drobny, led-
wo pobielający chodniki.

—Radio! — zawołała, stukając się palcem w czoło. Przekreśliła gałkę. Ze
sfatygowanego pudła pamiętającego lata pięćdziesiąte sączyła się nocna mu-
zyczka. Lekka, miła i przyjemna.

—Podawali jakieś komunikaty? — spytała.

Siostra pokręciła przecząco głową i wskazała ręką aparat telefoniczny.

—Mam zadzwonić do ojca? Teraz?

—Podnieś słuchawkę — wyszeptała siostra.

Podniosła. I gdy tak stała ze słuchawką bez sygnału wydawało się jej, że
w tej właśnie chwili zawalił się cały świat.

W parę minut potem schodziły ostrożnie po schodach, bojąc się urucho-
mić windę. Granatowy fiat ojca, pobielony gęstniejącym śniegiem stał tuż przy
bramie.

W świetle latarń wirowały coraz grubsze płaty. Od strony Placu Konsty-
tucji nadjeżdżał wóz milicyjny, cofnęły się więc za filar w bramie. Gdy oddalił
się, pobiegły do samochodu. Ledwie zjechały z chodnika, znowu zobaczyły w
lusterku wóz milicyjny nadjeżdżający od Wilczej.

—Zatrzymają nas — szepnęła z przerażeniem Martyna.

—Powiedz, że nie masz przy sobie żadnych dokumentów.

Wóz milicyjny wyprzedził ich samochód leniwie. Funkcjonariusz siedzący obok kierowcy przyglądał im się wprawdzie uważnie, lecz nie kazał się zatrzymać.

—Pojedziemy bocznymi ulicami — wyniszczała siostra. — Potem Wałem Miedzeszyńskim.

—Bzdura — stwierdziła Martyna stanowczo. — Jedź na Dworzec Centralny. Wsiadę w pierwszy lepszy pociąg, byle we wschodnim kierunku. W pociągach nikogo nie łapią. Zbyt duże ryzyko, że łapani wyskoczy w biegu. Czy powiedzieli, gdzie zabierają Ryśka?

—Mówili — wyświszczała znowu siostra. — Białobrzegi czy coś takiego, zapomniałam.

—Białobrzegi? Nad Zalewem Zegrzyńskim?

—Coś na „be”. Nie pamiętam. Ojciec wie. Dziewczynki obudziły się, Magda zaczęła płakać, Iza zaraz też, ja stałam jak słup soli, Rysiek nie chciał się ubierać, matka bez przerwy załamywała ręce i powtarzała w kółko: „A mówiłam, że to się tak skończy, a mówiłam”. Ojciec jedynie zachował przytomność umysłu i recytował jakieś fragmenty z konstytucji.

Łom zostawili przy wieszaku w przedpokoju.

—Po co przynieśli łom?

—A do czego służą łomy? To „be” kojarzy mi się z mąką.

—Z mąką?

—No, właśnie — odpowiedziała siostra, wzruszając ramionami. — Wyjmij spod futrzaka kopertę. Ojciec ci wszystko napisał. Masz tam też pieniądze. Ojciec prosi cię, żebyś robiła dokładnie tak, jak napisał. Podjedziemy od tyłu dworca. Pójdę z tobą. Może uda się dojść do jakiegoś peronu. Zejdziemy na ten, na którym będzie więcej ludzi.

Wysiadając z samochodu Martyna wyjęła spod futrzaka brązową kopertę.

W jaskrawo oświetlonej hali dworcowej ruch był niewielki. Szczęście im jednak sprzyjało. Akurat gdy skręcały w stronę peronów, usłyszały, że zaraz wjedzie pociąg do Dębli. Dobrze i to. Pożegnały się szybko.

—Nie zgłaszaj braku biletu — zdążyła wyszeptać siostra. — Udawaj, że zgubiłaś. Albo mów, że okradziono cię na dworcu i dlatego nie masz żadnych dokumentów.

Gdy pociąg ruszył, Martyna weszła do pustego przedziału, postawiła torbę i od razu otworzyła kopertę. Wyjęła spomiędzy pieniędzy złożoną kartkę i choć czytała uważnie, niewiele z początku rozumiała.

Ogłoszono stan wyjątkowy. Ci z ZOMO mówili, że wojenny. Nie wiem, co to jest. Ryśka zabrano do Białoleki, do więzienia. Powiedzieli, że to tylko internowanie. Zabierają ludzi z listy. Ciebie szukają pewnie w Wydarzynie, gdzie jesteś zameldowana. Zdążysz więc uciec. Stach zajmie się tobą. Słuchaj go we wszystkim. Nie wolno ci wracać do Warszawy, dopóki nie damy znać. Korespondencja na nazwisko Stacha. Od dziś jesteś „ciotką Ulą”. Oby ci się udało. Czekał cierpliwie. Ojciec.

II

Marcowe słońce roztopiło już brudne zwały śniegu wokół leśniczówki. Rozległe podwórze stało się istnym grzęzawiskiem z kamiennymi wysepkami, po których trzeba było umiejętnie chodzić, aby nie ześlizgnąć się w lepkie błoto. Za ogrodzeniem leśniczówki, gdzie stał zwarty las, panowała jeszcze zima. W tym odludnym zakątku dawnej Polski „B” wiosna zresztą nastawała zawsze późno.

Do najbliższej wioski, w której pozostało już tylko kilku gospodarzy na bagnistych polach, szło się z leśniczówki dobre dwie godziny. I to latem. Jesienią i w czasie roztopów rodzina Stanisława Śliwińskiego była praktycznie odcięta nie tylko od świata, ale i od tej najbliższej wioski, w której każdy z gospodarzy modlił się o to, żeby nie być ostatnim w kolejce do grobu.

Tamtego grudniowego dnia, gdy Martyna dotarła w południe do wioski, szczęście jej wyjątkowo sprzyjało. Leśniczy Śliwiński ładował akurat na sanie worki z kapustą i ziemniakami. Na tak zwany wszelki wypadek — jak później tłumaczył — chciał mieć większy niż zwykle zapas żywności. „Wojna czy stan

wojenny — wyjaśniał — to tu, na moczarach na jedno wychodzi, a żyć przecież trzeba”.

Martyna nie musiała Śliwińskiemu niczego wyjaśniać. I mogłaby żyć w leśniczówce niczym u Pana Boga za piecem, gdyby nie strach, że któregoś dnia zamkną się za nią drzwi celi. Z początku noc w noc budziło ją pukanie do drzwi i świszczący szept siostry, zrywała się przerażona, choć były to już tylko koszarne sny.

Dni mijały powoli, a każdy kolejny wydawał się Martynie stracony i pusty. Listy przywiezione przez leśniczego w styczniu nie dawały żadnych szans na szybki powrót do Warszawy. Ojciec w zaszyfrowany sposób donosił, że „mąż cioci Uli ma poważne kłopoty spowodowane przez żonę”. W lutym nic się nie zmieniło. Martyna uspokoiła się wprawdzie, przestały nękać ją koszarne sny, ale i popadała w coraz głębsze otępienie.

Marzec zaczął się szczególnie źle. Czuła, że jest już u kresu wytrzymałości psychicznej. Chciała wbrew zakazowi ojca wrócić do domu. Leśniczy okazał się jednak na tyle zręcznym psychologiem, że z dnia na dzień po kolejnych rozmowach z nim odkładała swój wyjazd.

Podczas ostatniej rozmowy Śliwiński nieoczekiwanie wyjawiał, że ma „pewne wiadomości”, które muszą być jeszcze sprawdzone, lecz powrót Martyny do Warszawy jest już prawdopodobnie możliwy. Poradził, żeby spokojnie czekała do piątku. W ten dzień tygodnia leśniczy wyjeżdżał konno albo na nartach do sąsiedniej wsi, skąd miał autobus do swego zarządu. Załatwiał tam sprawy służbowe, zabierał korespondencję, robił zakupy.

Czekała. Piątek przyszedł i prawie przeszedł.

Zbliżał się już wieczór, a zwykle o tej porze Śliwiński wracał z wypchanym plecakiem i strzelbą na ramieniu. Martyna wyszła mu więc naprzeciw aż za zakręt dróżki. Szklisty i brudny śnieg topniał pod nogami, wiatr wyrażcie wzmacniał się, z dala dochodziły jęklive pomruki lasu. „Idzie halny, pomyślała, noc będzie chyba niewesoła”. I gdy tak stała na dróżce wypatrując leśniczego, poczuła dziwny lęk. Usiadła na zwałonym drzewie, owijając się szczelniej grubą chustą leśniczyny. Przez ostatnie miesiące miała aż nadto czasu na myślenie o swoim życiu, niewiele jednak z tego myślenia wynikało. Rodzina, przyjaciele, znajomi

byli zaledwie o dwieście kilkadziesiąt kilometrów od tego lasu, a przecież jakby w całkiem innym kosmosie. Jakoś żyli, jakoś sobie radzili. Bez niej.

Wydawało się jej, że doszła już do tego punktu, z którego nie ma powrotu. „That’s point of never return” rzekła półgłosem, przypominając sobie zawołanie staroangielskich rycerzy i ostatkiem woli powstrzymała się od płaczu.

—Oj, ne treba tak czekaty! — zawołała leśniczyna, wyłaniając się zza zakrętu dróżki. — Mij wernetsja nie za dnia. Pojechał w powit.

—Przecież dawno nie ma już powiatów — sprostowała zaskoczona Martyna, oddychając z wyraźnym trudem.

—A to dla was, miastowych — wyjaśniła leśniczyna. — A u nas wszystko jak za batuszki cara. Czas do domu, bo szcze jakieś zli oczi was tu wypatrzą.

Niechętnie podniosła się ze zwałonego drzewa i poszła za leśniczyną. Wydawało się jej, że zamarzła. Dygotała cała, ręce miała mokre, a przed oczami wirowały ciemne platy. Na myśl, że musi długo jeszcze czekać, popadła nagle w taką złość, jak gdyby to leśniczy był wszystkiemu winny.

Gdy wchodziła do domu, nagle zdecydowała:

—Wyjeżdżam i to zaraz.

—Jej Bohu! — leśniczyna aż podniosła obie ręce do góry. — Toż to w waszej sprawie mij pojechał w powit. Treba czekaty, aż powernetisia. A meni treba wełnu rozsupłaty. Skołtuniła się tak, że nie pide na krosna — i niemal pociągnęła za sobą Martynę do komórki przy kuchni, gdzie stały worki z owczą wełną. Pokazała, co należy zrobić, odchodząc zaś powiedziała jakby już tylko do siebie: — A żyttia może buty harne, no, nie dla durnych.

—Kto to pani powiedział, że życie może być piękne?! — oburzyła się Martyna.

—Nie dla durnych — spokojnie wyjaśniła leśniczyna. Jej śpiewny głos zabrzmiał jakoś tak litościwie.

Segregowanie owczej wełny nic było zajęciem najprzyjemniejszym. Martyna mogła oczywiście machnąć ręką na tę robotę, spakować torbę i opuścić leśniczówkę. Siedząc na zydlu między workami uświadomiła sobie jednak, że straciła poczucie rzeczywistości. Co zyska, jeśli uda się jej zobaczyć rodzinę, przy-

jaciół? Przecież gdy wróci, może być aresztowana jeszcze tego samego dnia. Niewykluczone, że przez czysty przypadek zostanie zatrzymana już w sąsiedniej wsi na moczarach, a wtedy nietrudno będzie dojść, kto ją przez ten czas ukrywał. Piękna zapłata dla przyjaciela ojca z lat okupacji.

Próbowała rozdzielać skłębioną wełnę, ale jakoś jej to nie szło. Tłumaczyła sobie, że musi wytrzymać, musi czekać, czuła jednak, już niemal fizycznie czuła, że się dusi. Wstała i zaczęła krążyć po komórce. Szybciej i coraz szybciej. Jak zwierzę złapane w pułapkę. Nagle ogarnął ją przeraźliwy strach, że nigdy już z tej komórki nie wyjdzie. Zabrakło jej tchu, pociemniało w oczach. Ostatkiem sił doszła do drzwi, przeszła jak niewidoma przez kuchnię, i potknęła się na progu ganku. Upadając uderzyła ręką o róg ławki. Poczowała ostry ból.

Leśniczyna próbowała ją podnieść, Martyna przyłgnęła jednak całym ciałem do spróchniałej podłogi, wrywała się, aż nagle krzyknęła:

—Zostawcie mnie!

Śliwińska usiadła ciężko na ławce, odczekała dłuższą chwilę, po czym zaczęła mówić z tą swoją śpiewną i tęskną nutą w głosie:

—Oj, człowiek wiele nameńczyć się musi, zanim pomrę. To wszystko przez ten witer od gór, halny po waszemu. Powije, powije i wesnu prywije. W takiej witer człowiekowi je duże złe, ne znaje szczo roby ty, de poditysia. Wstańcież, Martyno.

Łagodny, śpiewny głos leśniczyny podziałał kojąco.

—Ja chyba tracę rozum — szepnęła, wstając z podłogi.

—A bo to tiazko tak żyty — zgodziła się Śliwińska. — Ale w tiurmie szcze hir- sze. — I poprowadziła Martynę do kuchni, zaparzyła ziółek „dobrych na chorą duszę”. Okazały się tak skuteczne, że Martyna spała jak kamień aż do rana.

Wstała niczym nowo narodzona. Przez zamknięte okno dochodził wprowadzie groźny pomruk lasu szarpanego wiatrem, lecz Martyna czuła się rześko. Ubierając się zaczęła nawet nucić, co ją samą zaskoczyło. „Dosypała jakiegoś narkotyku czy co?” — pomyślała o ziółkach leśniczyny, postanawiając spytać o ich skład.

Natychmiast jednak zapomniała o ziółkach, gdy zobaczyła w kuchni Śliwińskiego.

—Możesz już dziś wracać do domu — rzekł na przywitanie, nie przerywając jedzenia jajecznicy. I naraz jakby się zakrztusił, bo parę razy odchrząknął, zanim dodał: — To znaczy do Warszawy.

Nawet nie drgnęła. Tak długo czekała na tę wiadomość, myślała, że gdy wreszcie usłyszy te słowa, będzie krzyczeć z radości, a tu nic.

—Zrób jajecznicę z pięciu albo i z sześciu jaj. Idę obudzić naszego gościa. Że też wy, inteligenci, macie taką melodię do spania — zażartował wychodząc z kuchni.

—Kto przyjechał? — zawołała za nim.

—Jak nie zrobisz jajecznicy, nigdy się nie dowiesz! — odkrzyknął za drzwiami. Wzięła patelnię, postawiła na rozgrzanych do czerwoności fajerkach zastanawiając się, kim może być ów gość. „Czyżby ojciec przyjechał?” — dumiała zaskoczona. Nie zauważyła nawet, że patelnia mocno dymi.

— Kto rano wstaje, ten ma dużo roboty — usłyszała za plecami znajomy głos. Koszyk z jajkami wypadł jej z rąk wprost na gorące fajerki.

—Wolę smażone niż palone — rzekł brodaty rosły mężczyzna i szybko zdjął z kuchni dymiący koszyk. — Cześć ci i chwała, Martyno! To naprawdę ja we własnej rodzonej osobie.

Patrzyła z takim zdumieniem, jak gdyby ów czterdziestoparoletni mężczyzna pojawił się z zaświatów. Wprost nie wierzyła swoim oczom, że stoi przed nią na wyciągnięcie ręki Grzegorz Makowski, jej najserdeczniejszy przyjaciel.

—Przecież ty jesteś w Paryżu — stwierdziła od rzeczy.

—Byłem, byłem i się zmyłem. Wszędzie dobrze, ale najlepiej w domu. A propos — będziesz teraz mieszkać u ojca. W mojej kawalerce jest wprawdzie jeszcze jeden wolny kąt, byłby to jednak dla twojego męża idealny powód do rozwodu.

—Poczekaj, Grześ — przerwała mu. — Trochę za dużo tego wszystkiego i to z samego rana. Nie mogę pozbierać myśli. Zaraz... Co ja miałam zrobić?

—Jajecznice — przypomniał leśniczy. — Już właśnie kończę. Bierzcie talerze.

—Ona niech siada i niczego nie dotyka — zdecydował brodacz. — Szkoda nawet jednego talerza. Wiesz, ile teraz kosztują? — zwrócił się do Marty. I zabrał się do nakładania jajecznicy. Po chwili jednak zorientował się, że nałożył jej za dużo, odsunął więc od niej talerz i stwierdził całkiem poważnie: — Jajka teraz też są drogie, a ty tyle na pewno nie zjesz.

—Stałeś się niewiarygodnie oszczędny — zakpiła. — A mówią, że i w Paryżu nie robią z owsa ryżu.

—To nie Paryż — wyjaśnił — lecz lutowa podwyżka. Zobaczysz, jak i na ciebie podziałają nowe ceny.

—To po co wracałeś? Miałeś być przecież cały rok. Taka okazja i co? Francuzi cię wyrzucili?

—Nikt mnie nie wyrzucił. Powiedzmy: szczególnie niesprzyjający zbieg okoliczności, który ci kiedyś wyłożę. Teraz szkoda na to czasu. Jedz śniadanie, pakuj się i wychodzimy. Zostawiłem samochód twojego ojca we wsi i chciałbym dotrzeć tam przed wieczorem, a wędrówka przez ten cholerny las to istna katorga.

—Ojciec wiedział, gdzie mnie ukryć, prawda? — i porozumiewawczo mrugnęła okiem.

—Twój ojciec nic nie wiedział — rzekł niespodziewanie twardym głosem i przestał jeść. Patrzył na Martynę z takim napięciem, że aż poczuła, się nieswojo. — Pan Śliwiński radził mi — zaczął mówić po krótkiej chwili — żebym bardzo ostrożnie powiadomił cię o wszystkim. Ale ja nie jestem dyplomata.

I znowu zamilkł, zabierając się do jedzenia stygnącej jajecznicy.

Martyna odsunęła od siebie talerz i wyjęła paczkę papierosów. Domyśliła się, że zaraz dowie się o czymś bardzo nieprzyjemnym. Gdy zapalała papierosa, zauważyła, że drżą jej ręce. Grzegorz też pewnie zauważył to drżenie, bo ni stąd, ni zowąd uśmiechnął się porozumiewawczo i spytał:

—Wiesz, kto to jest dyplomata?

—Nie bardzo mi do śmiechu — przyznała, zaciągając się nerwowo papierosem.

—To taki facet — ciągnął nie zrażony — który potrafi stanąć na miejscu, na którym stoi już ktoś inny, bez nadeptnięcia mu na odcisk. Wolisz od razu znać całą prawdę, czy mam lawirować?

—Przecież sam wiesz. Żadnego owijania w bawełnę. Nie znoszę tego.

—No, tośmy się dogadali. Ani twój ojciec, ani twoja siostra nie są winni. Szanowny wicedyrektor Witold Otecki, twój najdroższy małżonek, wykorzystał cwanie okazję. Oszukał was wszystkich.

Siedziała jak skamieniała. Wreszcie odetchnęła głęboko i podniosła obie ręce do głowy, ściskając mocno skronie. Poczowała silny ból w stłuczonej dłoni i to ją otrzeźwiło.

—Nie musiałam się ukrywać? — spytała głucho, choć przecież wiedziała, co Grzegorz odpowie.

—Internowano nie według funkcji, a do ekstremy, jak to się teraz zgrabnie określa, nie zostałam zaliczona. Twój ojciec nie jeździł do Wydarzyna. Był przekonany, że Olecki mówi prawdą. A on ciągle opowiadał o rewizjach, przesłuchaniach, „nocnych nalotach”, skarżył się, że zaczyna mieć kłopoty w centrali, że właśnie przez ciebie chcą go zdegradować. Twój ojciec tak mu wierzył, że nie zastanawiało go nawet to, dlaczego milicja nie szuka ciebie w jego domu.

—Właśnie — wtrącił się leśniczy. — Mnie coś tknęło już w styczniu. Różni ludzie u mnie... — nagle urwał i chrząknął parę razy, zanim zaczął dalej mówić. — Sporo ludzi mieszkało u mnie w czasie okupacji, po wojnie, a i jeszcze w latach pięćdziesiątych. Przechowywałem paru akowców w tak zwanym okresie błędów i wypaczeń. Jeden z moich podopiecznych jest dziś u samej góry, gdybym podał wam jego nazwisko, zdziwilibyście się bardzo, a przesiedział u mnie prawie trzy lata — znowu urwał i jakoś tak znacząco spojrzął na Martynę.

W lot pojęła, o co mu chodzi. Nie chciał, żeby Grzegorz Makowski domyślił się, gdzie faktycznie mieszkali specjaliści leśniczego. System schowków i przejść jeszcze z czasu okupacji mógł być ujawniony tylko przez tego, kto się tu ukrywał. Spojrzała ukradkiem na Grzegorza. Smarował chleb masłem, a

czynił to tak zapamiętałe, jakby go nic, absolutnie nic poza tym smarowaniem nie interesowało. Dała znać oczami leśniczemu, że może być ‘spokojny.

—No, w każdym razie gdzieś tak w połowie stycznia — zaczął znowu mówić Śliwiński — coś mnie tknęło. Ojciec Martyny jest na naszych terenach znany. Pamiętają go nie tylko starsi ludzie. Gdyby więc Martyna była poszukiwana, a zachowała przecież swoje nazwisko, Szamilló, milicjanci z naszego posterunku zaraz by tu przyszli. Wysłałem do ojca na początku lutego wiadomość, że „ciocią Ulą nikt się nie interesuje”, ale chyba nie zrozumiał, o co mi chodziło. Nie pojmuję, co się z nim na starość stało... Dlaczego tak ślepo wierzył Oteckiemu, temu potworowi? Przepraszam Martyno...

—Nie trzeba przeproszać — przerwała ostro. — Powinnam była spodziewać się już wszystkiego najgorszego. Zwłaszcza po tej awanturze, podczas której mój drogi mążzonek zażądał, abym zajęła się garnkami, sprzątaniami i praniem, pozostawiając politykę dużo mądrzejszym ode mnie, kiedy w pasji wykrzykiwał, że moimi dumnymi artykułami zagrażam jego karierze zawodowej. Ty — zwróciła się do Grzegorza — akurat wybierałaś się do Paryża, zostawiając na rok wolną kawalerkę. Odeszłam wtedy od niego. Chciałam wystąpić o rozwód, ale mój Wicco kochany, kiedy mu o tym powiedziałam, przeproszał i niemal na kolanach błagał, żebym nie wносиła pozwu do sądu, żebym się jeszcze zastanowiła. Posłuchałam go, uwierzyłam. Święta Bożego Narodzenia mieliśmy spędzić razem w Wydarzynie, no, ale przyszła tamta noc grudniowa... Panie Śliwiński, skoro ja mu uwierzyłam, to proszę się nie dziwić memu ojcu. Witold sprawia na ludziach bardzo korzystne wrażenie: sympatyczny, kulturalny, elegancki...

—I znieawidzony przez podwładnych — dorzucił Grzegorz. — Pomiała ludźmi jak w swoim folwarku. Sama mi przecież o tym mówiłaś.

—Ta prawda — przyznała — mało kto jednak uwielbia wymagającego szefa. Tak to sobie przynajmniej tłumaczyłam.

—Oj, Martyna, Martyna — westchnął Grzegorz teatralnie. — Niektórzy ludzie widzą tak, jakby ich oczy znajdowały się na końcu długiego kija, bardzo daleko od mózgu.

Zapaliła następnego papierosa. Po rannej rzeźkości zginął wszelki ślad. Była tak otumaniona, że z trudem zbierała myśli.

—Trzy miesiące... — szepnęła bezwiednie.

—Weź się do kupy — poradził dość ostrym tonem Grzegorz. — Przecież nie lubisz przegrywać i nie wmawiaj mi teraz, że przeżywasz tragedię, bo kochany mąż tak cwanie cię wykiwał.

—Rozwód to nie moja, lecz jego przegrana — wyjaśniła machinalnie. — Wydarzyńska willa powstała ze spadku po mojej ciotce. Będzie musiał ją opuścić.

—Zaczynasz myśleć — stwierdził z widoczną ulgą — tylko że ty nic jeszcze nie wiesz...

—Nic? — przerwała zdumiona. — To, że przez trzy miesiące jak głupia tkwiłam na bagnach, to jest nic? Że doprowadził mnie prawie do nerwicy, to jest nic? Że... Że... — zaczęła już niemal krzyczeć.

—No, no, wpadłaś tu chyba w niezły dół psychiczny. Ale teraz nerwy w konserwy i na eksport. To nie ja cię tak urządziłem, więc nie wrzeszcz na mnie. Otecki wystąpił już o rozwód.

Oszłupiała, choć akurat ta wiadomość nie powinna była zrobić na niej większego wrażenia. Sama przecież wiedziała, jak niewiele łączyło ją z mężem. Przed ślubem była przekonana, że życie ułoży się jej niczym w amerykańskim filmie. Dopiero po paru poważniejszych konfliktach zaczęła trzeźwiej patrzeć na swoje małżeństwo. Banalnie nieudane. Wicedyrektor Otecki jako mąż przestał ją w każdym razie fascynować. Gdy jednak Grzegorz powiedział

O rozwodzie, przyjęła tę wiadomość wręcz z niedowierzaniem. Wiedziała bowiem, choć nigdy nikomu tego nie ujawniła, że Oteckiemu bardziej zależy na willi wydarzyńskiej niż na niej. Po rozwodzie z pierwszą żoną mieszkał w wynajętej kawalerce, czekając na przydział mieszkania ze specjalnej puli. Martynie obiecywano M-2 dopiero po 1987 roku. Gdy poznała Oteckiego, był już po rozwodzie i tak często powtarzał, że nie zamierza po raz drugi się żenić, iż powinna była machnąć ręką na ten związek. Traf jednak chciał, że zmarła ciotka, mieszkająca w Wydarzyni koło Warszawy, zostawiając Martynie w spadku duży ogród, domek, trochę biżuterii i sporo pieniędzy. Za tę biżuterię i pieniądze przekształcili domek na willę. Martyna usiłowała powstrzymać męża w jego architektonicznych zapędach, kochała go jednak i nie widziała żadnego związku między spadkiem po ciotce i nagłym ślubem. Skojarzyła to znacznie później. Dlatego oszłupiała, gdy Grzegorz powiedział o rozwodzie.

—Znalazł panienkę z willą? — spytała ironicznie.

—Nasza znajoma ma trzy wille, ale do sprzątanía — odrzekł Grzegorz z dość sztuczną wesołością. — Podobno znasz ją. Patrycja Barańska.

—Ona? — zdziwiła się szczerze. — Była przecież kiedyś przyjaciółką Kraczka, dyrektora wydarzyńskiego szpitala.

—Nie wiedziałem, że była przyjaciółką Kraczka. To bardzo interesująca wiadomość — Grzegorz aż cmoknął. — A wygląda na taką kobitkę, co to do dziesięciu nie umie zliczyć. Przypadkiem poznałem ją w Paryżu, na jakimś spędzie polskim. Zapomniałbym o niej zupełnie, gdybym się nie dowiedział od twojego ojca, że właśnie ona teraz zastępuje ciebie. Chyba z jej powodu nic wpadniesz w szal zazdrości, co?

Martyna machnęła ręką.

—To najgorsze mamy za sobą — stwierdził z wyraźną ulgą. — Pozostały tylko drobne ciekawostki przyrodnicze. Może jednak najpierw zjesz śniadanie?

—Nie jestem zdenerwowana i nie jestem głodna — zapewniła go. — Mów o tych ciekawostkach. Nic mną już nie wstrząśnie. Ryśka wypuścili?

—Siedzi jeszcze w Białoleęce. Na znak protestu nie golą się tam, on wygląda podobno jak niedźwiedź. Najgorzej im nic jest, co i rusz jakieś kontrole z zewnątrz, a to z naszego Czerwonego Krzyża, a to z międzynarodowego, a to znowu z komisji sejmowej. Ksiądz przychodzi co tydzień i odprawia msze. W tej samej celi jest z nim komandor, nie pamiętam nazwiska, wesolutki facet. Podobno klawisze błagają go już niemal, żeby przestał ich gnębić. Z początku niemal bez przerwy walił w/ drzwi, przychodzili, otwierali, a on całkiem poważnie: „Panowie, słyszałem, że jest wojna, więc ja, komandor, nie mogę beczynn timer tu siedzieć” albo: „Panowie, skoro jest wojna, to mnie, komandorowi, należy się ordynans”. O Ryśka nie martw się, twoja siostra złożyła już wszystkie papiery z prośbą o wcześniejsze zwolnienie i chyba wypuszczą go niedługo. Sporo ludzi wyszło.

—To dobrze. Myślałam, że jest gorzej.

—Gorzej jest z twoją willą, Nie ma tam miejsca dla ciebie. Wszystko zajęte przez lokatorów zameldowanych na stałe.

—Zwariowałaś?! — Martyna wyraźnie nie wierzyła własnym uszom. - Jakich lokatorów? Kto ich zameldował na stałe?

—Twój małżonek i to zgodnie z obowiązującymi przepisami. Skoro zamieszkali w willi, musieli się zameldować. Takie są przepisy. I choć jest to ewidentne draństwo, naczelnik Wydarzyna wzrusza ramionami, zasłaniając się prawem. Dla ciebie pozostał dach. Wniesiesz parę spraw i może za lat dziesięć wejdiesz do własnego domu.

—Przecież ja też jestem tam zameldowana!

—Już nie. Naczelnik wymeldował cię z urzędu. Stwierdzono, że nie przebywasz w tym domu i żegnaj Gienia. Są podkładowki w postaci raportów milicyjnych i pisma naczelnika, w którym zwrócił się on do miejscowego posterunku. MO, żeby „zbadali cię na okoliczność zamieszkiwania w Wydarzynie”. Twój ojciec stwierdził, że decyzja naczelnika o wymeldowaniu nie jest zgodna z przepisami, ale przecież nie mógł odwołać się w twoim imieniu. Nie wiem, czy masz jeszcze jakieś szanse na odwołanie się do Urzędu Stołecznego. Machnij na to ręką.

Martyna jednak nie machnęła. Czująca narastającą gwałtownie złość, jak gdyby dopiero teraz zaczęła rozumieć, co przez te trzy miesiące się stało.

—Jakie to głupie — stwierdziła nerwowo. — Czuję kompletną pustkę, kiedy powiedziałeś mi, że niepotrzebnie tkwiłam w tym lesie. To oszustwo było dla mnie tak wielkie, tak podłe, że aż niepojęte. Nawet śladu rozgoryczenia, tylko pustka, kompletna pustka. A teraz takimi drobiazgami się zdenerwowałam, jeszcze trochę i szlag mnie trafi.

—Nie klnij, bo się cholernie słyszy — zażartował, usiłując przywrócić Martynę do równowagi. — Robimy przerwę czy mam nadal nadawać?

—Kto tam mieszka? — spytała ostro.

—Szul...

—Nie do wiary! — zawołała. — Osobisty parobek, jak go mój drogi Wicio nazywał, dostąpił zaszczytu zamieszkania w dyrektorskiej willi? To jakieś bzdury! Może się przesłyszałaś?

—Twój ojciec sprawdził wszystko w urzędzie gminy.

—Ale to się kupy nie trzyma! Otecki zafundował mi prawie trzy miesiące na bagnach tylko po to, żeby wystąpić o rozwód i oddać nasz dom obcym ludziom? Może on zwariował?

—Wygląda doskonale — zapewnił Grzegorz. — Patrycja też tam mieszka i jest zameldowana na stałe, to chyba jasne dla ciebie. Mieszka tam również Kraczek...

—Przecież on ma mieszkanie spółdzielcze w Warszawie...

— Ale zameldował się na rok u was. Jest teraz kierownikiem miejscowego ZOZ-u.

—To jednak zrzucili go ze stołka dyrektorskiego?

—Nie. Szpital został zlikwidowany i Cezary Kraczek...

—Grześ — znowu mu przerwała — co ty mówisz? Zamknięto szpital wydarzyński? — Martyna wyglądała tak, jakby dopiero la wiadomość naprawdę ją poruszyła.

—Zamknięto — potwierdził. — Dlaczego jesteś tym zdziwiona?

—Nie, nie — zaprzeczyła jakoś tak za szybko. — Właściwie to przecież słyszałam, no, mówiło się jesienią, że ma być zamknięty, bo mały, niepotrzebny, bez właściwego wyposażenia, ale ludzie dość ostro protestowali. Kiedy został zlikwidowany?

—Właśnie jesienią.

— A dokładnie?

—Nie wiem — wzruszył ramionami. I zaraz dodał: — Co jest grane, Martyna?

—A co ma być grane? Myślałam, że ludzie obronili szpital. Sama kręciłam się trochę koło tej sprawy, napisałam artykuł, zamierzałam nawet interweniować w ministerstwie, powiedziano mi jednak na początku listopada, że szpital zostanie zamknięty tylko na czas remontu. Kto przejął budynek?

—Urząd gminy.

Wiadomość ta zaskoczyła ją wyraźnie. Zapaliła następnego papierosa i zaczęła o czymś bardzo intensywnie myśleć.

—Nie pal i zabierz się do jedzenia — rzekł Grzegorz kategorycznym tonem. — To już wszystkie ciekawostki przyrodnicze, jakie miałem ci przekazać. Dyplomatycznie. Nasz leśniczy bał się, że dostaniesz ataku hysterii. I widzi pan — zwrócił się do Śliwińskiego miałem rację. Martyna jest jak sprężyna.

—Może... — zgodził się dość sceptycznie Śliwiński. — Czort wie zresztą, jak by było ze mną, gdybym musiał się ukrywać. Trzy miesiące, to nie żarty.

— Zapłaci mi za każdy dzień — oznajmiła cedząc przez zęby. — Zapłaci podwójnie, potrójnie. — Zabrzmiało to tak groźnie, że obaj mężczyźni spojrzeli na siebie z niepokojem.

—A cóż ty mu zrobisz? Zadłgasz go? — spytał Grzegorz, starając się tę niespodziewaną groźbę obrócić w żart.

Nie odpowiedziała. Patrzyła jednak tak, że obaj poczuli jeszcze większy niepokój. Jej szare oczy przypominały kawałki stali. Ta drobna, trzydziestopięcioletnia kobieta o dość dziecinnej jak na swój wiek twarzy, sprawiająca zwykle wrażenie łagodnej, wyglądała teraz niczym harpia.

—Nie strasz, nie strasz — Grzegorz nadal usiłował żartować. — Znasz przysłowie gruzińskie? Rozum dziesięciu kobiet zmieści się w jednej skorupie od orzecha i jeszcze wolne miejsce pozostanie. Co ty możesz wymyślić? Prawo jest po twojej stronie, wszystko z czasem odzyskasz. Teraz są ważniejsze sprawy. W przyszłym tygodniu macie w twojej redakcji weryfikację dziennikarzy. Nikt ju wie, że zwiłaś. Nie zamierzasz chyba zmieniać zawodu, co?

Wzruszyła ramionami.

—Ja mam to już za sobą. Gdybym był ślusarzem, może bym się zastanowił nad korzystniejszym sposobem zarabiania pieniędzy. Ale, jak mówi moja matka, wykierowałem się na redaktora, to i teraz nie mam fachu. Trudno, gdy nie można zawrócić, trzeba iść do przodu. I co tu ukrywać — wolę suchą kiełbasę niż suche bułki.

—Każdy święty ma swoje wykrety — oceniła zgryźliwie.

—Z patrzenia w niebo, moja droga, mogą żyć wyłącznie astronomowie — odciął się równie zgryźliwie. — Nie mam sobie nic do wyrzucenia. Zawsze uważałem, że im bardziej jakieś zajęcie jest świńskie, tym więcej trzeba w nim uczciwości. Nie wstydzę się żadnego mojego artykułu.

—Bo zajmowałaś się poboczami: alkoholizm, narkomania, rozwody, dzieci niczyje, literackie reportaże o starości, samotności, tęsknotach...

—To pobocze, Martyno, jest bardzo szerokie. Żyje na nim co najmniej pół Polski. Ty też nie przerzucisz się na pietruszkę. Zresztą nic miałabyś gdzie jej sadzić. A prawda jest prosta: jeszcze te dzieci, które teraz przychodzą na świat, będą spłacały nasze długi. Dlatego tak wrzeszczą przy urodzeniu — podsumował pół żartem, pół serio swój wywód. — Panie Śliwiński — zwrócił się do leśniczego — może pan ją namówi do zjedzenia śniadania? Nie zamierzam dźwigać przez ten cholerny las jeszcze i suchego prowiantu dla niej.

—Idę się pakować — oznajmiła twardo. — Zrób mi jakąś kanapkę — poprosiła Grzegorza — ale bez jajecznicy. Na jej widok robi mi się niedobrze. Nie tknę jej chyba przez lata całe. Może już zawsze kojarzyć mi się będzie z dzisiejszym rankiem. Odruch Pawłowa czy co...

I wyszła z kuchni.

Pożegnanie z rodziną Śliwińskiego było krótkie i prawie bez słów. Leśniczy poszedł z nimi, bo choć dróżka między moczarami powinna być widoczna, wolał jednak przeprowadzić ich tamtędy. Ciepły, ale silny wiatr nie pozwalał iść szybko, co jakiś czas zatrzymywali się na krótki odpoczynek.

Zbliżało się południe, gdy leśniczy doprowadził ich do niewielkiego wzgórką z trzema strzelistymi sosnami.

—Dalej możecie iść sami — zdecydował. — Przed wieczorem zajdziecie. Droga tu widoczna, a moczary za wami. Wilków na szczęście u nas nie ma. Dzięki trzymają się tamtej strony — wskazał ręką zwarty las. — Ku drodze zwierzy-
na raczej nie podchodzi. No, moi mili, Bóg z wami. A tobie, Martyna, chciałbym na koniec jeszcze to powiedzieć, żebyś nie zawracała sobie głowy żadną zemstą. W przyrodzie nic nie ginie. Wszystko się z czasem wyrównuje. Przekonasz się sama. Za długo chodzę po tym świecie, żeby w to nie wierzyć.

—Kara boska za życia, co? — spytała ironicznie. — Nie mam czasu czekać. A kto sobie pomoże, temu i Pan Bóg dopomoże, tak się-mówi, prawda?'

—Cóż — leśniczy rozłożył szeroko ręce — zrobisz tak, jak zechcesz. Pamiętaj jednak, że zemsta jest daniem, które należy spożywać na zimno. Ale i stąd jej gorzki smak.

III

Wszystkie wieści okazały się prawdą. Niedługo po powrocie do Warszawy Martyna dostała wezwanie z sądu wraz z odpisem pozwu o rozwód. Z pozwu dowiedziała się, że przeszło pół roku temu uciekła od męża do kochanka, zabierając ze sobą wszystkie wartościowe rzeczy. Ponadto — że była paskudną żoną. I co najważniejsze: jest „elementem reprezentującym skrajnie inne poglądy polityczne niż mąż, co doprowadziło do ostatecznego i nieodwracalnego rozkładu pożycia małżeńskiego”.

Nawet ojciec Martyny — przybity tym wszystkim, co się stało, a za co i siebie winił — śmiał się, gdy czytał odpis pozwu. Otrząsnął się już trochę. Znajomy adwokat upewnił go bowiem, że Martyna nic nie straci. Odzyskanie domu jest tylko kwestią czasu, adwokat radził jednak mierzyć ten czas nie miesiącami, lecz latami. Sprawy sądowe o podział majątku dorobkowego trwają, jak twierdził, nieraz i kilka lat, a w tym przypadku nie ma co liczyć na dobrą wolę małżonka. Nakłaniał też Martynę, aby wyraziła zgodę na rozwód bez orzekania winy, na co ona przystała. Pośredniczył w rozmowach z jej mężem, przekonując go ostatecznie, że rozwód za obopólną zgodą jest korzystniejszy, ponieważ sprowadza się do obowiązkowego- posiedzenia pojednawczego i następnego — rozwiązującego małżeństwo.

W redakcji niemal wszystko układało się pomyślnie. Cały zespół przeszedł przez weryfikację. Pierwszy numer pisma po przeszło trzymiesięcznej przerwie ukazał się akurat na prima aprilis, co uznano za śmieszny zbieg okoliczności. Nikt w redakcji nie wiedział, że Martyna ukrywała się w lasach. Kiedy pytano ją, gdzie „zapadła się” na ten czas, udawała ogromne zdziwienie, wyjaśniając, że owszem, często wyjeżdżała z Warszawy, ale też i często była w domu.

Decyzja naczelnika gminy o wymeldowaniu Marty z urzędu określona została w Urzędzie Stołecznym, do którego się odwołała, jako rażące naruszenie obowiązujących przepisów. Odzyskała więc możliwość przebywania w wydarzyńskiej willi, z czego na razie nie korzystała. Mieszkała w niewielkim domku ojca na peryferiach Warszawy, zajmując pokój, w którym dotychczas spały dzieci jej siostry, a który był tak mały, że nazywano go „kanciapą”. Nie przejmowała się zanadto zamianą przeszło dwustu metrów kwadratowych w Wydarzynie na pięć w „kanciapie”, przychodziła bowiem zwykle do domu dopiero przed nocą. Te późne powroty do domu niepokoiły jej rodzinę, z czego nie zdawała sobie sprawy, zdziwiła się więc szczerze, gdy ojciec spytał ją któregoś dnia konspiracyjnym szeptem, czy aby nie weszła — jak to on fachowo określił — w nielegalne struktury.

— Ani w podziemiu, ani w nadziemiu — uspokoiła go. — Czytałam kiedy w „Przekroju” takie śliczne zdanie z wypracowania szkolnego: „Działalność tajnych związków zawsze kończyła się ścinaniem członków”. Nie bój się, zapewniam cię, że nie jestem elementem reprezentującym skrajnie inne poglądy niż ty.

I od czasu tej rozmowy wprowadziła zwyczaj „składania zeznań” przy kolacji: gdzie była, co robiła, z kim i o czym rozmawiała. Mówiła prawie wszystko, ale tylko prawie.

O tym, że na posiedzeniu pojednawczym w sądzie nie wyraziła zgody na rozwód, co wprawilo w osłupienie jej własnego adwokata i wyprowadziło z równowagi męża, rodzina Marty dowiedziała się dopiero po fakcie. I nie od niej zresztą, lecz od adwokata. Tłumaczyła, że zmieniła zdanie nagle, dopiero w sali sądowej, ale jej wyjaśnienia nie brzmiały przekonująco.

Gdy składała relację z sądu Grzegorzowi Makowskiemu, nie usiłowała wmówić mu, że chce ratować małżeństwo.

— Kobytko — Grzegorz specjalnie użył tego określenia — co ci z tego przyjdzie? Przecież on dostanie rozwód. Od przeszło pół roku nie mieszkasz z nim. Nie macie dzieci. Wystarczy, żeby zeznał, że wasze życie seksualne nie było udane i żegnaj Gienia. Zależy ci na wyciąganiu brudów? On pójdzie teraz na całość, skrzyknie „porządnych gości”, którzy łąć będą w sądzie jak z nut i wyjdiesz na taką, którą trudno od latarni oderwać. Po co to zrobiłaś?

—Musiałam i zapewniam cię, że nie jestem najgłupsza na świecie — wyjaśniła ogólnie.

—Ale głupiejesz i to z dnia na dzień! — krzyknął. — Martyna, co z tobą się dzieje? Zawsze wiedziałaś, co jest naprawdę ważne, a co nie, nie przejmowałaś się drobiazgami, tak fajnie umiałaś się cieszyć życiem, a teraz... Nerwowa kobitka rozpaczająca z powodu utraty jakiejś tam cholernej willi. Kiedy ty ostatnio byłaś u fryzjera?

Przygładziła włosy ze smętną resztką trwałej, zerknęła na cajgową spódnicę w stylu „szmata” i na rozciągnięty sweter, po czym z dość niewyraźną miną machnęła ręką.

—Najpiękniej rzeczywiście nie wyglądam, ale wiem, co robię. Załatwię to, co mam załatwić i dopiero wtedy rozstanę się z Oteckim. Jeszcze przez parę miesięcy muszę być jego prawowitą żoną...

I uśmiechnęła się jakoś tak dziwnie.

—Czy ty coś knujesz? — spytał wprost.

—Skądże — zaprzeczyła, lecz jej szare oczy znowu przypominały stalowe ostrza. — Nie zamierzam tylko czekać latami na odbiór mojego własnego domu. Adwokat uprzedził mnie, że dopóki w wydarzyńskiej willi będą zameldowani lokatorzy, dopóty trudno będzie mi odzyskać własność. Podział majątku dorobkowego, sprawy o eksmisję, szukanie lokali zastępczych — to nie na moje nerwy. Zmuszę męża, żeby sam wyprowadził lokatorów.

Grzegorz gwizdnął przeciągle i z wyraźnym uznaniem.

—Masz na niego jakiegoś „haka”?

—Kto szuka, ten znajdzie — odpowiedziała wymijająco. — A ponieważ zeznawałam w sądzie, że chcę za wszelką cenę ratować małżeństwo, przenoszę się w tych dniach do Wydarzyna.

—Nie jest to najlepszy pomysł — ocenił. — Ich jest czworo, a ty jedna. Nie wytrzymasz.

—Chyba mnie nie zabiją, co? — zaśmiała się, ale jakoś tak niepewnie.

—Zrezygnuj — poradził. — W pojedynkę zawsze jest najtrudniej. A ja znam trzy rodzaje wrogów: wróg, wróg przyjaciela i przyjaciel wroga. Może mógłbym ci pomóc w przekonywaniu Oteckiego, żeby sam wyprowadził lokatorów?

Podziękowała mu, dając do zrozumienia, że na razie nie potrzebuje pomocy. Lecz po chwili zapalając papierosa, powiedziała:

—Najlepszy sposób na pozbycie się wrogów, to ich przeżyć.

Mimo że uśmiechnęła się przy tym, zabrzmiało to dość groźnie. Zauważywszy zaś zaskoczenie Grzegorza, zaczęła zaraz mówić o kłopotach w redakcji, wypytywać o różne plotki, opowiadać dowcipy.

Milczał, natarczywie wpatrując się w Martynę. W końcu sięgnął po leżącą na stole paczkę papierosów, wyjął jednego i zapalił. Był to oczywisty znak, że jest zdenerwowany. Od wielu już bowiem lat nie palił i tylko wtedy, gdy go nerwy zawodziły, odruchowo sięgał po czyjeś papierosy.

—To mój przydział kartkowy — zażartowała, demonstracyjnie chowając papierosy do torby.

Milczał nadal, przyglądając się cienkiej smużce dymu. Po chwili zaczął bębnić palcami o blat stołu.

—Grzesiu... — zaczęła tak łagodnie; jak tylko potrafiła.

—Masz jeszcze coś niesłychanie ciekawego do powiedzenia? — przerwał jej jadowitym tonem.

—Nie obrażaj się — ciągnęła łagodnie, starając się zażegnać awanturę. — W tej sprawie naprawdę nie możesz mi pomóc. Mógłbyś natomiast wyręczyć mnie w czymś innym, nie wiem jednak, jak mam ci to powiedzieć.

—Równie szczerze, jak dotychczas — poradził ironicznie.

Odczekała dłuższą chwilę.

—Wiesz — zaczęła niepewnie — mam kłopoty w redakcji. Naczelny wezwał mnie na rozmowę pod tytułem, że czas najwyższy zabrać się do poważnej roboty. Ma już dość, jak on to nazwał, „pierdółek o życiu”. Zlecił mi trzy tematy i jasne jest, że jeśli mu nie przyniosę tych kawałków, wywali mnie z redakcji.

Czyny społeczne. Pojeżdżę sobie teraz z jednego krańca Polski na drugi. W Szczecińskim budują w czynie społecznym szkołę, w jakiejś wsi koło Białogostoku założono z własnej nieprzymuszonej woli spółdzielnię produkcyjną i są już ponoć duże zyski, natomiast w pobliżu Zduńskiej Woli rozpadł się PGR i opuszczone chlewnie mają być zamienione w przedziałnie rajstop. Słowem mam przywieźć materiały dowodzące, że ludzie nie opuszczają rąk, pracują i działają. Czwarty temat zaproponowałam sama, szef się zgodził i tu mógłbyś mi, Grzegorz, pomóc. Chodzi o szpital wyda- rzyński.

—Jak mógłbym ci tu pomóc? — spytał zaskoczony.

—Napisz za mnie ten artykuł.

—Coo?

—Pieniądze twoje...

—Ależ nie chodzi tu o pieniądze! — przerwał jej, mocno zdumiony tą propozycją.

—Grzegorz — zaczęła gorączkowo wyjaśniać — mnie bardzo na tym zależy. Nie mogę odpuścić tej sprawy, a jasne jest, że ani naczelnik gminy, ani tym bardziej Kraczek nie będą chcieli ze mną rozmawiać. Przekażę ci wszystko, co na ten temat wiem, porozmawiasz z paroma osobami i sam napiszesz albo możemy wspólnie.

Znowu zamilkł na dłuższą chwilę, przypatrując się bacznie Martynie.

—Czyś ty czasem nie weszła w nielegalne układy? — spytał wreszcie.

—Nie obawiaj się — zapewniła go tak gwałtownie, że nabrał jeszcze większych podejrzeń. — Grzegorz, sprawa jest czysta. Sam wiesz, że ludziom bardziej potrzebny jest szpital niż reprezentacyjna siedziba urzędu gminy. Jeśli się nie zgodzisz, poproszę kogoś innego, mniej podejrzliwego. A zresztą, bądźmy szczerzy — gdybym nawet weszła w jakieś podziemie,

to i tak bym ci o tym nie powiedziała.

Ty też byś mi nie powiedział, prawda? Dlatego nie zadaję ci takich głupich pytań. Więc jak, pomożesz mi?

Zastanawiał się tak długo, że Martyna w końcu wzruszyła ramionami, wzięła torbę i nie żegnając się podeszła do drzwi.

—Daj papierosa — zawołał za nią. — Na konto zapłaty za robotę, do której niepotrzebnie się zabieram. Czuję, że wpuszczasz mnie w maliny. Mam tylko jedną nadzieję — że z jakiegoś niejasnego dla mnie powodu nie trafię do pudła.

—Nie bój się, nie zostaniesz zapudłowany z powodu artykułu o szpitalu wyda- rzyńskim...

Mówiła to tak szczerze, że Grzegorz znowu stracił orientację. Był już bowiem niemal w stu procentach przekonany, że podjął się wykonania „kreciej ro- boty”. Z mieszanymi więc uczuciami zapisywał informacje podawane przez Martynę oraz jej rady, jak i z kim ma rozmawiać o zlikwidowanym szpitalu. Zdziwił się jednak niezmiernie, gdy mu powiedziała, żeby w ogóle nie rozma- wiał z dawnym dyrektorem szpitala, Cezarym Kraczkim.

—Przecież to jest wręcz konieczne — zaprotestował.

—Omijaj go z daleka, dobrze ci radzę. Jego poglądy w tej sprawie nie ma- ją zresztą żadnego znaczenia. Ludzie w Wy- darzynie mówią, że sam minister dał mu fiata w nagrodę za zamknięcie szpitala.

—I ty w to wierzysz? — Grzegorz znacząco popukał się w czoło.

—Na pewno jednak nie kupił sobie nowiutkiego samochodu ze swojej pensji.

—To jakieś bzdury! — osądził lekceważąco. — Kraczek stracił dyrektor- ski stołek, mógłby więc najwięcej powiedzieć o społecznych stratach, wynikają- cych z zamiany szpitala w rezydencję urzędu gminy. Poza tym przed chwilą mówiłaś, że to właśnie z jego powodu nie możesz sama zabrać się do pisania te- go artykułu...

Zrobiła dość niewyraźną minę niczym dziecko przyłapano na kłamstwie. Szukała w myślach jakiegoś przekonującego argumentu, nic mądrego nie przy- chodziło jej jednak do głowy.

—Grzegorz, powiem ci wprost: rozmowa z Kraczkim w ogóle nie wcho- dzi w grę. Musisz mi wręcz przyrzec, że będziesz go omijał.

— Ale ja nic z tego nie rozumiem! -- krzyknął rozzłoszczony. — Robię coś w ciemno, nie wiem, dla kogo, nie rozumiem dlaczego chcesz publikować ten artykuł pod jakimś pseudonimem i odcinasz mnie od najważniejszego informatora. Czy ty aby nie wymagasz ode mnie za wiele? Jedyne, co mi zostaje, to wycofać się z tego interesu.

—No, to wycofuj się, szanowny panie redaktorze! — rzuciła ostro, ale nie ruszyła się z miejsca. — „Mógłbym ci pomóc, mógłbym ci pomóc, znam trzy rodzaje wrogów” — przedrzeźniała, wykrzywiając pogardliwie usta — a jak co do czego dochodzi, to głowa w piasek. Więc jak?

—Dobrze — zgodził się wreszcie. — Skoro jednak jesteśmy wobec siebie tacy szczerzy — tu głos jego zabrzmiał sarkastycznie — to i ja ci powiem prawdę. Źle jest, Martyna. Nie wiem, co na ciebie tak podziałało. Czy ten krach w kraju, czy ukrywanie się w leśniczówce czy podłość Oleckiego. Ty już chyba nikomu nie wierzysz, co?

Kiwnęła głową, zapaliła kolejnego papierosa i podeszła do okna. Drzewa wzdłuż Marszałkowskiej jaśniały świeżą zielenią, przed sklepem delikatesowy wiała się długa kolejka, ludzie wyglądali z góry jakoś lak szaro, bezbarwnie. Przyglądała im się bezmyślnie. Nagle przypomniała coś sobie, odwróciła się od okna i z dość smętnym uśmiechem powiedziała:

—Patrząc na to, co ostatnio na tym naszym świecie się dzieje, małpy naprawdę mają prawo ostrzegać swoje dzieci: „Bądź grzeczny, bo zostaniesz człowiekiem”. Do czego myśmy doszli... Mój Boże... A Marks miał rację, byt rzeczywiście określa świadomość. Czy mógłbyś zabrać się za ten szpital jak najszybciej?

—Będiesz miała reportaż za sześć, siedem dni — przyrzekł. Poczul się jednak zawiedziony. Przez chwilę łudził się bowiem, że Martyna o wszystkim mu powie. Łączyło ich przecież coś szczególnego — najprawdziwsza przyjaźń, tak rzadka między kobietą i mężczyzną. Oboje wiedzieli, że zawsze mogą na siebie liczyć. Ostatnio jednak wyrósł między nimi jakiś mur.

Dotrzymał słowa. Oddając po tygodniu prawie dziesięciostronicowy reportaż, uznał za konieczne powiedzieć Martynie że pisał wbrew swoim przekonaniom.

—Gdybym był królem Polski, też bym tak zrobił — wyjaśnił. — To nie był szpital, lecz umieralnia. Ciężej chorzy leczyli się przecież w Warszawie, a tam trzymano głównie chorych na starość. I musisz przyznać, że ta zagrzybiona rudera z drewnianym wychodkiem na podwórzu, w której mieścił się urząd gminy, to było po prostu coś strasznego. Wykonałem twoje zlecenie, ale bez przekonania.

—Gdyby jednak tak odremontowano szpital, jak to uczyniono na cześć i chwałę urzędu gminy — upierała się przy swoim Martyna — i gdyby znalazło się właściwe wyposażenie, nie byłaby to umieralnia.

— Gdyby, gdyby... — ironizował Grzegorz. — Sprzęt i narzędzia medyczne nie spadają z nieba, zaś forsa na remont kapitalny szpitala nie jest z tej samej kasy, co na adaptację budynku dla celów administracji terenowej. Dawniej Polska była szlachecka, teraz jest resortowa. A resort zdrowia nie miał już zdrowia do wydaryżńskiej umieralni. Możesz iść do samego ministra i sprawdzić. Remont kapitalny szpitala nie był uwzględniony w najbardziej nawet perspektywicznych planach, ponieważ należało najpierw zdobyć nowocześniejsze wyposażenie za co najmniej kilkaset milionów złotych. I to po starych cenach. Przez ostatni rok była w tym szpitalu już pełna bryndza. Rób teraz z tym, co chcesz — wskazał ręką na swój reportaż — wolałbym jednak nie mieć z tego powodu poważniejszych kłopotów. Pseudonim pseudonimem, ale to przecież ja rozmawiałem z tymi ludźmi.

Martyna nie była zachwycona, gdy skończyła czytać. Zaczęła w wielu miejscach poprawiać i skracać tekst, dopisała spory kawałek. Grzegorz nic wtrącał się uznał, że to już nie jego sprawa. Gdy jednak przeczytał zmieniony reportaż, stwierdził z teatralnym podziwem:

—Marnujesz się! Taki talent propagandowy... z czarnego zrobić białe i odwrotnie...

—Fakty pozostały te same, zmieniłam tylko punkt widzenia — wyjaśniła zwięźle.

Ów punkt widzenia nie spodobał się jednak naczelnemu redaktorowi tygodnika, w którym pracowała. Zaproponował zmiany popierające słuszność decyzji o zamknięciu szpitala. Ponieważ Martyna nic zgodziła się na nie, reportaż został odrzucony. Identycznie zareagował naczelny pisma, w którym pracował

Grzegorz Makowski. Wyglądało na to, że reportaż nigdzie nie zostanie opublikowany. Martyna nie poddała się jednak, zwróciła się do redakcji, w której miała znajomych. Powiedzieli, że muszą się zastanowić, bo — jak stwierdzili — „temat jest śliski”.

Akurat w tym czasie musiała wyjechać do Miedzeszyna na tygodniowe przeszkolenie w sprawach reformy gospodarczej. Nie wróciła stamtąd, zatelefonowała tylko do ojca i powiedziała, że od razu jedzie „w teren”. Nie wyjaśniła, gdzie i po co.

Grzegorz spotkał się z nią dopiero w czerwcu. Niemal już zapomniał o nieszczęsnym reportażu był więc szczerze zdumiony gdy Martyna wręczyła mu przerobiony po raz któryś tekst wraz z prośbą, żeby teraz on wykorzystał swoich znajomych.

—Zrobię, co będę mógł — obiecał zaskoczony jej natarczywością. — Dlaczego jednak tak bardzo ci na tym zależy? Kogo chcesz wykończyć? Naczelnika?

—Nie o to chodzi — machnęła ręką.

—Ale o coś ci przecież chodzi. Walczysz o ten reportaż, jakby to była sprawa życia i śmierci.

—A propos walka — zmieniła nagle temat rozmowy. — Mój drogi mążzonek dał mi trzy miliony złotych na konto spłaty wydarzyńskiej willi.

—Co? — Grzegorz najwyraźniej nie wierzył. — Komu on ukradł te pieniądze?

—To już nie moja sprawa — rzekła oziębło. — Spisaliśmy w zespole adwokackim umowę, że do września wypłaci mi dwanaście milionów złotych — równowartość willi i ogrodu. Spisałam też wstępną umowę z właścicielem komfortowego mieszkania na Saskiej Kępie: sto dziesięć metrów kwadratowych z dolarową glazurą i boazerią za jedyne dziesięć milionów złotych. Dobry interes, co?

Grzegorzowi nie bardzo podobał się ten interes.

—Jak zmusiłaś go do płacenia?

—Sam mi zaproponował. Słowo honoru — Martyna trzy razy uderzyła się w pierś. — Uwierz mi.

—Tere fere kuku — parsknął.

—Niedowiarek — wzruszyła ramionami. — Gdybym go zaczęła szantażować, pewnie bym już fruwała wśród aniołów. Nie przypuszczałam, że jest to facet aż tak bezwzględny. I dobrał sobie ostrą kompanię. Czy ty wiesz, że nie wpuścili mnie do mojego własnego domu? Wszystkie zamki zmienione, Szul waruje jak pies na straży. Poszłam na posterunek, pokazałam, że jestem zameldowana, poprosiłam o pomoc, a oni mi powiedzieli, że mogę złożyć skargę do prokuratury za „zmuszanie mnie do niewygód”. Fajnie to się nazywa, co? Jeżdżę więc sobie teraz do swojego ogrodu zrywam kwiatki, opalam się i poluję na truskawki.

—Na truskawki? Polujesz? — Grzegorz zaczął się histerycznie śmiać.

—Cudna wojna — Martyna też zachichotała. — Oni już chyba wymiotują truskawkami i pewnie wstają o świcie, żeby zerwać wszystkie dojrzałe, zanim ja przyjadę. A ja przyjeżdżam w różne dni i o różnej porze.

—A musisz? — spytał poważniejąc. — Nie stać cię na kupowanie truskawek?

—Przecież to nie o to chodzi — wyjaśniła. — Muszę jeździć, żeby nie popadli w błogi spokój. Oni zaś odgryzają się tak, jak potrafią. Ponieważ nie mogą mnie zabić ani nawet pobić, kradną truskawki i wydaje im się, że doprowadzą mnie w ten sposób do szału. Możesz mi powiedzieć, co robiła Barańska w Paryżu? — zapytała ni stąd, ni zowąd.

—Ona też kradnie truskawki? — Grzegorz znowu zaczął się śmiać.

—Oczywiście. W Paryżu była u krewnych?

—Nie wiem, dziewczyno. To było całkiem przypadkowe spotkanie na jakimś polskim spędzie. Zaraz... — Grzegorz zamyślił się. — Z kim ona wtedy była? Chyba z tym czarno-białym małżeństwem... Jak oni się nazywali... Popatrz, nie mogę przypomnieć sobie nazwiska...

—Starość nie radość — zakpiła.

—Ale jeszcze nie skleroza — odparował. I naraz klepnął się w czoło. — Była z tym starym Francuzem!

—Z którym? — twarz Martyny nagle pojaśniała.

—No, jak on się nazywał... Jean, Jean... Oż, kurde! — zaklął po szczeniacku. — Basia Haczkowska wie.

—To ona też była w Paryżu? — zdziwiła się Martyna.

—Jak najbardziej. Właśnie wtedy, w październiku. Organizowała jakieś dary dla rodaków. Francuzów wcale nie trzeba było namawiać. Podstawiało się na plac ciężarówkę, a oni wrzucali najrozmaitsze paczki z ciuchami, ryżem mąką, cukrem kawą nawet. Potem trzeba było to wszystko sortować, odpowiednio pakować, załatwiać transport i szła ciężarówka za ciężarówką do Polski. No, ale mnie nie bardzo odpowiadało to zajęcie. Szybko się wycofałem.

—Brudna robota, co? — oceniła zgryźliwie.

—Brudna jak brudna — odpowiedział wymijająco. — Bardzo różnie z tymi darami bywało i właśnie dlatego wolałem się wycofać.

—A mógłbyś teraz poprosić Baśkę, żeby skontaktowała się z tym Francuzem? — spytała jakoś tak ostrożnie.

—Ja mogę, nie wiem jednak, czy ona się zgodzi. Do czego jest ci to potrzebne? Czyżbyś chciała nie dopuścić do ślubu Barańskiej z twoim drogim małżonkiem?

—A niech się żeni! Przypuszczam jednak... — nagle urwała. — Grzegorz — rzekła po chwili — ustal nazwisko i adres tego Francuza. Mam do ciebie jeszcze jedną prośbę. Schowaj gdzieś głęboko tę paczuszkę — wyjęła z torby niewielki pakunek zasznutowany niczym baleron i upstrzony lakiem. — Gdyby... — urwała. — Wiesz, gdyby coś się stało... Nie bój się, nikt mnie nie chce zamordować — wyjaśniła szybko widząc nieklamane przerażenie Grzegorza.

—Oszalałaś? — wymamrotał z trudem. — W coś ty się wpakowała?

—Nie twój interes! — rzuciła ostro.

Poczuł się jak uderzony w twarz. Nie panując nad nerwami chwycił ją za ramiona i potrząsając z całej siły powtarzał w kółko:

—W coś ty się wpackowała! W coś ty się wpackowała! Cholerne miliony! Cholerna willa! Masz mnie za durnia? Myślisz, że ja nic nie widzę? Niczego się nie domyślam? Zostaw! Napluj! I zabieraj tę paczkę ode mnie, ale to już!

Nie wyglądała na zaskoczoną tym atakiem furii.

—Muszę ją zostawić u ciebie — powiedziała kategorycznie. — I nie bój się, nikt mnie nie zabije. Wiem, że chodzę po bardzo cienkiej linii, ale nie jestem głupia i nie dam się zabić. Przypuszczam jednak, że cała ta sprawa jest dużo, poważniejsza niż nawet mnie się wydaje. Dlatego wolę się zabezpieczyć. Nie chcę do końca życia gnić w więzieniu.

IV

Słońce wręcz parzyło. Martyna podjechała jak najbliżej drzew szukając cienia. Szybko przebrała się w kostium kąpielowy i jak zwykle „poszła na zwia-
dy”. Willa była zamknięta na wszystkie możliwe spusty. Nawet lufciki w zakra-
towanych oknach szczelnie trzymały się framug. „Bardzo uważają teraz” — po-
myślała z zadowoleniem, ponieważ takiej właśnie reakcji oczekiwała. Raz tylko
udało się jej wejść oknem, gdy nikogo w domu nie było, lecz ten jeden raz zu-
pełnie jej wystarczył.

Machnąwszy ręką na „bunkier” poszła sprawdzić, na jakim etapie rozgry-
wa się „wojna truskawkowa”. Widząc na grządkach ciemnoczerwone wielkie
owoce, wprost nie wierzyła własnym oczom. Nie zastanawiając się długo wyjęła
z samochodu kobiałkę i z niemal dziecinną zachłannością poczęła ją napełniać.
Miała ogromną ochotę zjeść wszystkie od razu, zbyt dobrze jednak pamiętała
pobyt w szpitalu po zjedzeniu nic umytych śliwek.

Z pełną kobiałką podeszła do siatki, odgradzającej ogród od pola sąsia-
dów. Zajęci byli akurat plewieniem jakichś warzyw, nie bardzo więc wypadało
prosić ich żeby odrywali się od swojej pracy i płukali jej truskawki.

—Dzień dobry! — zawołała, machając ręką w ich kierunku.

—Szczęść Boże — odpowiedzieli po swojemu, na chwilę tylko podnosząc
głowy znad grządek.

—Mogę umyć pod waszą studnią truskawki?

—A czemu by nie. Brama otwarta.

Podeszła najpierw do samochodu, zdjęła

z oparcia fotela sukienkę i nałożyła na siebie, nie miała bowiem odwagi iść do nich w kostiumie kąpielowym. Gdy podnosiła z ziemi kobiałkę, usłyszała od strony pola sąsiadów histeryczny płacz dziecka. W prześwicie między pniami drzew zobaczyła sąsiadów biegnących w kierunku bramy, przy której leżał obok roweru ich kilkuletni wnuk. „Pewnie zdrowo się potłukł” — pomyślała i też prawie biegiem ruszyła drogą wysypaną żużlem. Zapomniała nałożyć sandały, nie chciało jej się jednak wracać do samochodu, zeszła więc na zarośnięte pobocze uważając, żeby nie trafić bosymi stopami w osty.

Krzyk dziecka nie ustawał. Martyna widząc przez siatkę, jak sąsiad niosąc wnuka na rękach śpieszy się do domu, też przyśpieszyła kroku. Nie bardzo wprawdzie orientowała się w medycynie, niemniej umiała udzielać tak zwanej pierwszej pomocy, a z zachowania sąsiadów wynikało, że z dzieckiem stało się coś złego. Byle guzem czy zderciem skóry tak by się nie przejęli.

Była już blisko bramy, gdy nagle poczuła w nodze tak silny ból, że aż pociemniało jej w oczach. Sycząc i pojękując usiadła wprost na żużlu. Z rozbitego o kamień palca ciekła grubą strugą krew, a i paznokieć jakoś tak dziwnie sterczał. Odczekała dłuższą chwilę, po czym wstała i powolutku, opierając się na pięcie obolałej stopy, zawróciła do samochodu.

—Niech ich jasny szlag trafi! — zakląła ostro, mając na myśli swojego męża i jego lokatorów. — Podłe dranie! Chamy nie myte! — z wściekłości prawie już krzyczała, wiedząc, że jej ostatni dostęp do wody — z kranu na podwórzu przy kotłowni — dawno został zlikwidowany.

Wyjęła z samochodu apteczkę, zanim ją jednak otworzyła, zreflektowała się i zaczęła najpierw starannie wycierać ręce o sukienkę. Gdy spojrzała na nie, po chwili osłupiała. Zapomniała nawet o rwącym bólu w rozbitym paluchu. Patrząc na swoje dłonie czuła tylko narastające przerażenie.

Z dużym trudem opanowała wreszcie obezwładniający ją lęk, po czym nie bacząc na zakrwawioną stopę nałożyła sandały. Z torby wyjęła zeszyt i stojąc przy dość sporej jak na ich ogród plantacji truskawek zaczęła spisywać rzędy

cyfr. Następnie wróciła do samochodu, otworzyła bagażnik, chcąc stamtąd coś wyjąć, lecz nagle zmieniła zamiar. Wzięła leżącą w samochodzie apteczkę i owi-
nęła obie ręce w bandażę tak szczelnie, jak tylko potrafiła. Dopiero potem wyjęła
z bagażnika dużą puszkę i weszła z nią między truskawki.

Kilkanaście minut później wsiadła do samochodu, ostrożnie ustawiła na
tylnym siedzeniu kobiałkę z owocami, otworzyła wszystkie okna i podjechała do
bramy.

Akurat w momencie, gdy była już za bramą i miała zamiar wysiąść, by
zamknąć ją za sobą, zobaczyła idących poboczem jezdni Szula i Barańską. Mo-
gła odjechać, zostawiając im na złość otwarte wrota. Poczekała jednak, aż dojdą
do samochodu. Dopiero wtedy wysiadła i przyglądając im się w demonstracyjny
wręcz sposób leniwie poczęła przesuwac, obie części bramy wjazdowej.

Barańska mijając Martynę spuściła głowę w dół.

—Ta ździra jest nie do zdarcia — stwierdził Szul spluwając w kierunku
Martyny, na co ona zupełnie nie zareagowała. Przyzwyczała się już bowiem do
obelg „osobistego parobka wicedyrektora Oleckiego”. Założyła nawet, że rola
Szula w tej sprawie na tym właśnie ma polegać.

Kiedy jednak uruchamiała silnik zauważyła, że drżą jej nie tylko ręce.
„Zaczynam tracić panowanie nad sobą — pomyślała z goryczą. — Dziś, ko-
niecznie dziś muszę to wszystko wysłać, bo jeszcze trochę i popełnię jakiś
straszny błąd”.

Mimo iż wszystkie okna w samochodzie były opuszczone do końca, Mar-
tyna czuła się jak pijana. Ruszyła w kierunku Warszawy bardzo ostrożnie.

Niedługo potem z wydarzyńskiej willi wyszła wyraźnie zdenerwowana
Patrycja Barańska. Tuż przy bramie dogonił ją Szul, zatrzymał niemal siłą, a wi-
dząc przez siatkę sąsiada plewiącego warzywa, ściszone głosem coś gwałtownie
tłumaczył. Barańska jednak otworzyła furtkę z takim rozmachem, jakby
chciała nią zmieść z ziemi Szula i szybko odeszła.

Autobus do Pruszkowa uciekł jej niemal spod nosa. Następny miała do-
piero za pół godziny. Usiadła na wyszczerbionej ławce, wypatrując „okazji”. Ża-
den z przejeżdżających samochodów nie zatrzymał się jednak.

—Dyrektor nie zafundował jeszcze pani fiacika? — zapytał zgryźliwie starszy mężczyzna, siadając obok na ławce.

Nie odpowiedziała. Otworzyła torebkę, wyjęła z niej jakąś pastylkę i próbowała przełknąć ją na sucho.

—Tak to można się udławić — stwierdził zaczepnym tonem przyglądający się jej uważnie mężczyzna.

—A można, można — dorzuciła przechodząca obok przystanku tęga kobieta. — Cudza krzywda zawsze bokiem wyjdzie, prawda sąsiedzie? — i zachichotała, obrzucając Barańską pogardliwym wzrokiem.

Nie reagowała na zaczepki. Tuż przed przyjazdem autobusu znowu wyjęła z torebki jakieś lekarstwo i z wyraźnym trudem próbowała przełknąć tabletkę.

W gęsto zatłoczonym autobusie panował zaduch wręcz nie do wytrzymania. Barańska stała przy samych drzwiach. Kierowca dojeżdżając do kolejnych przystanków pytał głośno, czy ktoś wysiada, a słysząc, że nikt, jechał dalej. Zatrzymał się dopiero w Pruszkowie.

Kiedy otworzył drzwi, Barańska nie wysiadła, lecz wypadła. Wyglądało to tak, jakby ktoś umyślnie ją wypchnął. Kilku pasażerów przeszło obok niej obojętnie, ktoś jednak wreszcie nachylił się i starał się ją podnieść.

Była bardzo blada, oddychała chrapliwie.

—Ludzie! Z nią jest źle! — krzyknął zdenerwowany pasażer.

Kierowca słysząc to niemal wyskoczył z autobusu i nachyliwszy się nad nią zaczął mocno bić ją po twarzy.

—Lekarstwa... Lekarstwa... — wyszeptała, odzyskując na chwilę przytomność.

—Jasny piorun! To wygląda na zawał! Ludzie, pomóżcie! — wołał kierowca. — Ma ktoś nitroglicerynę?! Leć pan na dworzec — zwrócił się do najbliższego stojącego mężczyzny. — Trzeba szybko wezwać pogotowie!

— Ona ma jakieś lekarstwa w swojej torbie — oznajmił spokojnie „zgryźliwiec” z Wydarzyna. — Ciągle coś przy mnie na przystanku łykała, ale ja się na tym nie znam. Nie tykam nawet aspiryny.

1 wolnym krokiem, jak gdyby nic się w ogóle nie stało, ruszył w kierunku najbliższego sklepu.

V

Komendant wydarzyńskiego posterunku MO, Bolesław Nowak, wyszedł przed dopiero co wyremontowany budynek. Świeży żółtawy tynk ostro kontrastował z rozrzuconymi wokół strzępami papierowych worków po cemencie i fąbach.

Usiadł na ławce pod drzewami. Gdzieś z daleka doleciał pomruk pierwszego grzmotu. Z sąsiedniego domu wybiegła dziewczyna i zaczęła zdejmować ze sznurków schnące pieluchy. Ptaki ucichły, pochowały się w liściach drzew. W pobliskiej kuźni rozlegał się dźwięk młota, który w tej ciszy przed burzą brzmiał niczym dzwon bijący na alarm.

Komendant otarł spocone czoło, wyjął paczkę papierosów, zapalił i zapatrzył się w poskręcane od starości jabłonie, rodzące już tak parszywe jabłka, że nawet nie chciało się w nie kopnąć. Małe, wielkości orzecha włoskiego, a już w czerwcu spadające z drzew.

Nagle wstał i z całej siły kopnął jednak w robaczywe jabłko. Nie trafił, zarył tylko czubem buta w ziemię i zachwiał się tak mocno, że o mało co nie upadł.

— Nerwy cię zawodzą — orzekł fachowo milicjant, wychylający się z okna posterunku.

— A bo, jasna cholera, nie wiem, jak mam dogadać się z Andrzejem! — wyrwało mu się nieoczekiwanie. — Przecież ja nic nie chcę od niego. Matka zapisała dom na niego i niech ma. Tylko widzisz, mnie to jeszcze boli. Sam widziałeś, jak było. On fruwał po święcie, a my z żoną pomagaliśmy matce we wszystkim. Przyjechał dopiero na pogrzeb. Mnie nie jest potrzebny ten dom, mam swój, ale dlaczego matka zapisała wszystko dla Andrzeja?

— Możesz się procesować.

— Głupiś! — komendant machnął ręką. — Nic nie rozumiesz. Myślisz, że ja nie wiem, co ludzie w Wydarzynie mówią? Że chodzi mi o majątek. A niech ten dom jasny grom spali! Nie chcę żadnych pieniędzy. Miałem brata, przyrodniego wprawdzie, ale brata. A teraz nie mam. I o to mi chodzi. Uczony! — rzucił pogardliwie. — Matka tak na niego czekała... Żeby choć jednym słowem usprawiedliwił się, wytłumaczył dlaczego wcześniej nie przyjechał. Co mam zrobić? Udawać, że wszystko jest w porządku?

—To wasze sprawy— orzekł milicjant, wychylając się jeszcze bardziej przez okno i spoglądając w coraz ciemniejsze niebo. — Powiem ci tylko tyle: ja stoję po twojej stronie. Może to ci pomoże. Machnij ręką na ludzkie gadanie. Widzisz, Bolo, tak to już jest, że jednemu nawet byk urodzi cielę, a drugiemu to i w drewnianym kościele cegła na głowę spadnie. Andrzej nie będzie tu mieszkał. Znowu poniesie go w świat. Idź do domu, po co masz tu siedzieć.

—Już nawet do domu nie chce mi się wracać — burknął. — Że też on nie ma żadnego wstydu! Przychodzi do nas jakby nic nigdy nie było! Stołówkę darmową sobie znalazł, czy co?

—Oj, Bolo, Bolo, nerwy cię zawodzą. Przecież ty nie jesteś taki, żeby skąpić własnemu bratu. Nie siedź tu, bo zaraz lunie.

Nerwy go naprawdę zawiodły, gdy zobaczył przed swoim domem brata pomagającego zdejmować schnącą bieliznę. Pierwsze grube krople deszczu już spadały, a na sznurach wisiały jeszcze ręczniki i prześcieradła.

—A gdzieś ty miała oczy i uszy, że dopiero teraz ściągasz pranie! — krzyknął do żony ze złością i od razu wszedł do domu.

Po chwili wbiegła komendantowa z lekko zmoczonym tobołkiem, a za nią wszedł jakoś tak niepewnie Andrzej.

—Na wątrobę najlepszy cholegran, dać ci? — złośliwie spytała Nowakowa. — Wejdz, Andrzej, wejdz — zachęcała szwagra.

—Ja tylko na chwilę — zastrzegł się, siadając przy stole.

—Na jaką chwilę? — ironicznie powtórzył komendant. — Przecież leje i przecież nikt cię nie wyrzuca.

Choć byli braćmi, nie mieli w sobie ani krzty podobieństwa. Jeden śniady i przysadzisty, drugi wyglądał jak typowy Szwed. Komendant był porywczy i ostry, jego brat natomiast sprawiał wrażenie nieśmiałego flegmatyka. Różnili się we wszystkim, nosili zresztą różne nazwiska po swoich ojcach.

—Bolo... — zaczął jakoś tak niepewnie brat — chciałbym cię o coś zapytać...

—No to pytaj.

W tym właśnie momencie komendantowa krzyknęła zza drzwi kuchennych:

—Schodzę do piwnicy, a wy weźcie sobie coś do picia!

— Ty chyba znasz wszystkich tutejszych ludzi, co? — spytał Andrzej takim tonem, jakby się zastanawiał, czy w ogóle warto pytać.

—Powiniennem.

—Kim więc jest taka dość ładna szatynka...

—Co druga kobieta jest tu szatynką — przerwał mu złośliwie.

—Ale ona jeździ granatowym fiatem z warszawską rejestracją i była dziś u dyrektora Oteckiego. Widziałem, jak stamtąd wyjeżdżała.

—Ho, ho! — mruknął pod nosem. — Spodobała ci się może?

—Nie o to chodzi. Zachowywała się tak dziwnie... Chciałbym wiedzieć, kto to jest.

—A cóż takiego dziwnego robiła? — spytał komendant, sprowadzając rozmowę z bratem niemal do przesłuchania.

—Siedziałem na tej naszej „łysej górze" — zaczął opowiadać Andrzej. — Ciągle mnie tam nosi. Widać stamtąd prawie cały Wydarzyn... Patrę i przypominam sobie dawne lata... — głos mu nagle lekko zachrypnął. — Wesoło mi w każdym razie nie jest — dodał już twardo. — Patrzyłem na tego granatowego fiata wyjeżdżającego z posesji Oteckiego ot tak, bez żadnego powodu. Po prostu: samochód jechał, a ja akurat o ten samochód zaczepiłem wzrokiem. Zatrzymał się niedaleko naszej „łysej górki", tuż za zakrętem, na brzegu lasu. Wysiadła z niego szczupła szatynka i wysypała z kobiałki truskawki. Wsiadła do samo-

chodu, odjechała kawałek i nagle cofnęła znów, do tych truskawek. Wyjęła z bagażnika łopatkę i zasypała je. Nie uważasz, że jest to bardzo dziwne zachowanie?

Komendant zapewne tak właśnie uważał, ponieważ miał wyraźnie zdziwioną minę.

—Po co to robiła? — spytał, jakby akurat jego brat umiał na to pytanie odpowiedzieć. — I nie kryła się z tym?

—Zjechała tylko na pobocze. Na szosie ruch jest spory, samochody jeżdżą niemal jeden za drugim, więc na pewno się nie kryła. Kto to jest?

—Chyba Martyna Szamiłło, żona Oteckiego. Ciekawostka... — komendant aż pokręcił głową z niedowierzaniem. — Może zwariowała?

—Nie wyglądała na wariatkę. I dlaczego miałyby zwariować?

—To już nie moja sprawa — rzekł sucho Nowak. — Trafiła kosa na kamień i niech sobie sami radzą. Wicedyrektor centrali handlu zagranicznego i dziennikarka — prychnął z pogardą. — Im wyżej, tym gorzej. Że też żadnego wstydu nie mają. On drań, ale na takiego jest sąd. Powinna szybko rozwieść się z nim, wyeksmitować lokatorów z domu i swoje odebrać. Kiedyś wydawała mi się całkiem rozsądna. Po co ona tu przyjeżdża? Rozdmuchuje tylko plotki. Truskawki... — zamyślił się nad tym, co usłyszał od brata.

—Komendantowa jest? — doleciało nagle z ganku.

—Jestem, jestem! — odkrzyknęła Nowakowa z piwnicy i po chwili wyszła na ganek. Gdy wróciła, miała wyraźnie podnieconą minę.

—Wiesz, co powiedziała Zośka? — spytała męża.

—Znowu jakieś ploty?

—Jakie tam ploty — zaprzeczyła. — Zośka widziała wszystko na własne oczy. Rzucili zaraz z rana herbatę w sklepie niedaleko jej biura, kolejka była aż na ulicy, stała i patrzyła, jak sobie gruchali.

—Zwariuję — westchnął. — Gruchali...

—Tak to wyglądało — potwierdziła całkiem poważnie.

—Kobieto! Kto z kim gruchał przy tej rzuconej herbacie?

—Ano Szul z Barańską, kochanką Oteckiego. I nie przy herbacie. Oni nie stali w kolejce. Siedzieli w kawiarni, to znaczy w tym ogródku kawiarnianym, wiesz, tym koło biura Zośki na Ochocie w Warszawie.

—Nie wiem, nie byłem tam — przerwał żonie. — I co mnie obchodzi gruchanie Szula z Barańską.

—No i popatrz, Andrzej — zwróciła się do szwagra. — Jakie ja mam z nim życie? — Toż to cały Wydarzyn będzie teraz o tym mówić. Zośka nie popuści. Szul z tą lafiryndą, a Otecki z rogami. Cud piękności! — komendantowa aż cmoknęła.

—To ja już pójde — oznajmił Andrzej wstając od stołu.

Nawet dla pozoru nie usiłował go zatrzymać, skinął tylko głową na pożegnanie.

Niedługo potem zadzwonił telefon. Nowak słuchał uważnie. Na koniec powiedział, że zaraz wychodzi, a odkładając słuchawkę położył ją obok aparatu.

—Stało się coś? — zapytała żona przekładając słuchawkę na właściwe miejsce.

—Szul i Barańska nie żyją.

Komendantowa przycisnęła obie ręce do piersi.

—Otecki ich zabił, tak? — rzekła całkiem poważnie.

—Zatruli się czymś.

Westchnęła głęboko, a podając mężowi płaszcz przeciwdeszczowy powiedziała kiwając z przejęciem głową:

—No i przyszła na nich kara boska.

Komendant zachnął się, machnął jednak w końcu ręką i wyszedł z domu.

Patrycja Barańska i Jan Szul otruli się truskawkami. A dokładniej preparatem owadobójczym, używanym do opryskiwania roślin, mającym dwutygodniowy czas karencji. Spożycie owoców w okresie karencji zawsze kończy się źle, w tym jednak przypadku analizy chemiczne wykazały, że użyto preparatu w niewielkim rozcieńczeniu, zatem praktycznie w śmiertelnym stężeniu.

Plantacja truskawek w ogrodzie Oteckiego była dość spora. Pobrane stamtąd próbki okazały się czyste. Nasuwał się więc tylko jeden wniosek: ktoś spryskał preparatem zerwane już owoce.

Komendant Nowak, gdy znał już wstępne wyniki analiz chemicznych, pojechał w to miejsce, o którym wcześniej mówił mu brat. Nie odnalazłby tak szybko śladu na granicy lasu, gdyby Martyna Szamiłło umiejętnie posłużyła się łopatką. Miejsce to było jednak aż nadto widoczne: świeżo zryta ziemia, a nad sfermentowaną mazią truskawkową niewielki kopczyk.

I właśnie wtedy Nowak popełnił błąd. Po prostu nie wytrzymał. Nabrał trochę mazi do torebki foliowej i zaraz zawiózł do ekspertyzy. Wieczorem znał wynik. Był tak bardzo podniecony wiadomością, przekazaną mu telefonicznie, że po raz pierwszy od pogrzebu matki udał się do jej domu, zajmowanego teraz przez brata.

—Mogę ci powiedzieć, dlaczego Szamiłło wyrzuciła truskawki — oznajmił na przywitanie.

Andrzej czytał jakąś książkę. Na stole stała filiżanka z kawą — jedyna oznaka życia w tym domu. Nic tu od czasu pogrzebu się nie zmieniło, na meblach leżała siwa warstwa kurzu, w wazonie tkwiły dawno zwiędłe kwiaty. Komendant mimo rozpierającego go podniecenia poczuł się nieswojo. Sądził, że brat na dobre już się zadowił. Odchrząknął nerwowo i powiedział jeszcze raz:

—Chcesz wiedzieć, dlaczego Szamiłło wyrzuciła truskawki?

—Napijesz się kawy? — spytał Andrzej wstając z fotela.

—Nie, nie — odmówił stanowczo. — Wpadłem tylko na chwilę. Tymi truskawkami można byłoby otruć pluton wojska.

—Znalazłeś je?

—Skoro mówię... — Nowak nagle urwał. Dopiero teraz skojarzył, że jego brat zadał to pytanie wyraźnie szyderczym tonem. — Dlaczego — zaczął po chwili bardzo wolno — spytałeś, czy je znalazłem?

Andrzej nie odpowiedział. Patrzył mu prosto w oczy, ale jakoś tak dziwnie, a na jego twarzy malowała się zaciętość, której komendant w żaden sposób nie mógł sobie wytłumaczyć.

—No, cóż, trudno — rzekł jakby tylko do siebie. — Zostaniesz wezwany na przesłuchanie.

—W jakiej mianowicie sprawie?

—Widziałeś, jak Martyna Szamiłło wyrzucała te truskawki...

—Niczego nie widziałem — przerwał mu zaciskając mocno szczęki.

Nowak osłupiał.

—Zaraz... Przecież wiesz, o czym mówię... — I chciał dalej tłumaczyć, lecz nagle zamilkł. Wydawało mu się to wprost nieprawdopodobne, czuł jednak, że się nie myli. — Braciszku — mówiąc to aż zmrużył oczy — do kogo ty masz pretensje? Konkretnie do mnie, czy tak ogólnie do milicji? A może i do całej Polski, co?

Nie odpowiedział. Usiadł z powrotem w fotelu i zaczął pić kawę.

—Będziesz musiał zeznawać! — rzucił ostro Nowak. — Mam świadka na to, o czym mi mówiłeś!

—Kogo mianowicie?

—Moją własną żonę.

—Musiałaby mieć uszy jak radar. Była wtedy w piwnicy.

Nowak sięgnął nerwowo po papierosa i skruszył go w palcach.

—Dlaczego, do jasnej cholery, chcesz ją kryć! — wykrzyczał z niepomowaną już złością.

—Nikogo nie kryję — odrzekł. — Znalezienie tego, kto zatrul truskawki, jest waszą sprawą. Nie moją. Wszystkiemu zaprzeczę. Nie spodziewaj się, że

pomogę ci wsadzić Martynę Szamiłło do więzienia. Sam mówiłeś, że wydawała ci się kiedyś rozsądną kobietą. Zapewniam cię, że nadal taką jest.

—To tak się mają sprawy!

Chciał jeszcze coś powiedzieć, pojął jednak, że jeśli zaraz nie wyjdzie, zrobi coś strasznego. Trzasnął więc drzwiami z taką siłą, że aż wszystko się za-trzęsło.

Wracał do domu na skróty przez łąki sąsiadów, klnąc z szewską pasją bez obawy, że ktoś usłyszy. Czuł się tak, jakby za chwilę miał się rozlecieć na ka-wałki. Gdyby to było możliwe, naplułby sobie w twarz. Nie chodziło mu już na-wet o to, że popełnił tak poważny błąd. Niepohamowana wściekłość rozsadzała go z całkiem innego powodu — że on, komendant posterunku, przestał myśleć, gdy zobaczył świeżo zrytą ziemię i ów kopczyk pod lasem. Przecież tamtego dnia, kiedy Szamiłło wyrzuciła truskawki, nad Wydarzy-nem przeszła huraga-nowa wręcz burza, w wielu domach zalało piwnice, a on, komendant posterunku, cieszył się jak szczeniak, że tak szybko znalazł to miejsce.

Wchodząc do domu omal nie wyrwał drzwi z futryny.

—Oszalałeś! — zawołała żona wychodząc z kuchni.

—Gdzieś ty była, kiedy parę dni temu rozmawiałem z Andrzejem?! — wykrzyczał.

—Parę dni temu? Z Andrzejem? A czy to ja pamiętam? — wzruszyła ra-mionami.

—Skup się, kobieto! — krzyczał nadal. — Rozmawialiśmy wtedy o tru-skawkach.

—O jakich truskawkach?

Aż poczerwieniał na twarzy. Chciał coś powiedzieć, lecz głos uwiązał mu w gardle.

—Bolo, uspokój się — poprosiła łagodnie. — Powiedz, o co chodzi. Mo-że sobie przypomnę.

—Nie ma o czym mówić — machnął ręką i wyszedł z domu tak trzaskając drzwiami, że powinny były już wypaść z zawiasów. Usiadł na ławeczce przed domem i palił papierosa za papierosem.

Następnego dnia zaraz z rana czekał na niego na posterunku młody prokurator z Pruszkowa. Nowak widział go już parę razy i sądził, że jest stażystą.

Przywitali się chłodno.

—Jeszcze dziś przesłuchamy wszystkich — oznajmił komendantowi. — Wysłałem radiowóz po Oteckich. Przywiozą ich niedługo. Pan dawał jakąś sfermentowaną maź truskawkową do analizy chemicznej. Skąd pan to wziął?

Nowak tylko westchnął.

—Śledztwo na własną rączkę, co? — nieostrożnie zakpił młody prokurator, zdaniem komendanta stanowczo za młody nie tylko do prowadzenia tej sprawy, ale i w ogóle do pracy w prokuraturze. Dwudziestoparoletni człowiek wydawał mu się niemal z każdą sekundą coraz młodszy i młodszy.

—Można to tak nazwać — odpowiedział lekceważąco. — Wam zlecono tę robotę?

—Nie... To znaczy tak. Szef prowadzi, ale kazał mi tu przyjechać. Trzeba jeszcze dziś wszystkich przesłuchać. Sierżant poszedł po doktora Kraczka. Żona Oteckiego ma być przesłuchiwana na końcu.

—Pan już wiesz, kogo trzeba zamknąć? — spytał złośliwie komendant, któremu prokurator coraz mniej się podobał i nie poprawiał swoim zachowaniem już i tak fatalnego samopoczucia. Wręcz przeciwnie.

Zapowiadała się między nimi cicha wojna. Nie zamienili ze sobą nawet pół słowa aż do czasu, gdy do pokoju wszedł Cezary Kraczek, kłaniając się przesadnie nisko.

Był to mężczyzna przeszło pięćdziesięcioletni. Wyglądem swoim bardziej przypominał rzeźnika niż lekarza. Wydatny i mięsisty nos o szczególnym zabarwieniu nawet latem świadczyć mógł albo o zaburzeniach w układzie krążenia, albo o nadmiernym upodobaniu do alkoholu. W przypadku szefa miejscowej służby zdrowia i jedno i drugie było faktem. Komendant Nowak z tego właśnie

drugiego powodu należał do nielicznych przedstawicieli miejscowej elity towarzyskiej, którzy nie utrzymywali z Kraczkim bliższej znajomości. Gdyby to tylko od niego zależało, wręcz odebrałby Cezarowi Kraczkowi prawo wykonywania zawodu. Dyrektor szpitala, obecnie zaś kierownik ZOZ, nie zwykł jednak pić podczas pracy, a ponieważ nie był księdzem, jego prywatne życie nie mogło mieć wpływu na ocenę umiejętności zawodowych.

Prokurator rozpoczął przesłuchanie. Nowak usiadł więc przy sąsiednim biurku, zapalił papierosa i zaczął zachowywać się tak, jak gdyby znalazł się w swoim własnym pokoju przez czysty przypadek. Nie uspokoił się jeszcze, a prowadzone obok przesłuchanie uniemożliwiało mu odzyskanie równowagi ducha.

Kraczek oczywiście nic nie widział i nie słyszał. Wyszedł z domu jak zwykle około ósmej rano, wrócił dopiero wieczorem, gdy Barańska i Szul już nie żyli. Potwierdził, że ma mieszkanie w Warszawie. Wyjaśnił jednak, że jest w separacji z żoną. O Szulu i Barańskiej niewiele umiał powiedzieć. Owszem, widywał ich każdego dnia, rozmawiał, ale raczej tak ogólnie, jak to bywa między sąsiadami. Martynę Szamiłło określił jako „element niepewny politycznie”. Dodał, że jest to typ kobiety bezczelnej. Użył nawet porównania „przekupa z bazaru”.

Nowak paląc szóste albo i siódme z kolei papierosa nic wytrzymał w tym momencie.

—Panie Kraczek — wycedził pogardliwym tonem — zagalopowałeś się pan ciut z tym bazarem, co? Komu jak komu, ale akurat Martynie Szamiłło nie można przypisać tak korzystnych dziś koligacji. A przy okazji — nie mógłby pan wynająć sobie mieszkania gdzie indziej?

—U Oteckiego mieszkam za darmo — wyjaśnił. — Pan na moim miejscu również wolałby nie płacić, prawda?

Nowak starał się zachować obojętny ton, coś go jednak w środku roznosiło.

—Truskawek pan nie jadasz? — spytał szyderczo.

—Dzięki temu żyję — odpowiedział niby żartobliwie, przełykając jednak nerwowo ślinę. — Alergia od wczesnego dzieciństwa, może od samego urodzenia. Wszyscy moi znajomi o tym wiedzą.

—Może wrócimy do właściwego przesłuchania — zdecydował służbowym tonem prokurator. I nie czekając na reakcję komendanta zaczął zadawać dalsze, już bardzo drobiazgowo pytania.

Nowak zdusił papierosa w popielniczce, rozsypując przy tym niedopałki i popiół. Sięgnął do paczki po następnego. Nagle poczuł nieprzyjemny ucisk w okolicy serca i w gardle. Zaczął głębiej oddychać, starając się zapanować nad dziwnym niepokojem. Wstał od biurka, podszedł do okna, po chwili wyszedł przed budynek posterunku. .Ucisk w gardle i w klatce piersiowej trochę zelżał.

—Źle się pan czuje, komendancie? — spytał wychodzący właśnie z budynku Kraczek.

—Już nie — odpowiedział szorstko. I ni stąd, ni zowąd dodał: — Miałeś pan cholerne szczęście z tą alergią, co?

Kraczek chciał chyba coś powiedzieć, parę razy otwierał bowiem usta jak ryba, w końcu jednak skłonił się w niemym pożegnaniu i odszedł.

„Oj, doktorek czegoś się boi” — pomyślał i naraz doznał olśnienia.

—Panie Kraczek! — krzyknął za nim. — Chodź pan jeszcze na chwilę.

Zawrócił przy bramie, i podszedł z bardzo niechętną miną.

—Myślałem, że przesłuchanie już skończone. Spieszę się do pracy.

—To przecież dopiero początek, doktorze — wyjaśnił mu konfidencyjnym tonem. — A ja sobie właśnie przypomniałem, że mam dla pana propozycję. Znajomy szuka kulturalnych ludzi, którzy zaopiekowaliby się jego mieszkaniem, tu, w Wydarzynie. Pomyślałem o na nu.

—O mnie? — Kraczek wzruszył ramionami. — Przecież mam gdzie mieszkać,

—Miałby pan do swojej dyspozycji cały dom i ogródek — zachęcał coraz śmieiej.

—Czy ten znajomy nie jest aby czasem bratem pana?

—Na jedno wychodzi — odpowiedział wymijająco — a dom jest ładny. Więc jak?

—Nie szukam innego mieszkania. To wszystko?

—Wszystko, wszystko. Owocnej pracy, doktorze. '

—Nawzajem — odrzekł machinalnie.

—Czyżby? — głos komendanta aż kipiał ironią.

Kraczek patrzył ponuro i wyglądał tak, jakby nic nie rozumiał. Po jego odejściu komendant wyjął paczkę papierosów, popatrzył jednak tylko na nią i schował z powrotem do kieszeni. Ułamał kawałek zapałki i zaczął mleć ją w zębach. Po chwili plunął niczym furman i wyjął z pudełka następną zapałkę. Usiadł na ławce pod orzechem, wyrzucił w przód obie nogi i zamknął oczy. Gdyby słońce tu docierało, można byłoby przypuszczać, że się opala.

—Dlaczego pan wyszedł? — usłyszał po jakimś czasie głos młodego prokuratora, nie raczył jednak nawet otworzyć oczu.

—A po co miałbym tam siedzieć? — spytał nie zmieniając swej nader niedbałej pozycji.

—Komendancie, prowadzone jest postępowanie przygotowawcze.

—Tak właśnie mi się wydawało — odrzekł. — Pan mi jednak, obywatelu prokuratorze, nie wydał żadnego polecenia.

Pomyślałem więc sobie, że skoro jest stan wojenny, to i może zasady naszej pracy się zmieniły. Prokuratorom, zwłaszcza tym najmłodszym, funkcjonariusze milicji nie są już chyba do niczego potrzebni, co? Szkoda tylko, że nie zostałem o tym poinformowany drogą służbową, oficjalnie, na papierze.

—O co panu chodzi?

Nowak otworzył oczy i nawet wstał z ławki.

—O to, że pańska nadgorliwość jest zbędna. Ja znam swoje obowiązki i pan powinieneś znać swoje. Kto kazał panu przesłuchiwać tych ludzi?

—Mówiłem już. Mój szef — odpowiedział zaskoczony tak nieoczekiwanym atakiem.

—No, to idź pan teraz do niego na skargę, a nawet donieś mu, że ja się wałkonię w czasie pracy, — I niemalże przesunął ręką speszzonego dwudziesto-

parolatka, który mógłby być jego najmłodszym synem. — Dzień dobry, panie dyrektorze, dzień dobry, witamy, witamy — zawołał przesadnie poufale do Oteckiego, wysiadającego właśnie z samochodu. — Czekamy na pana.

Przyjazne gesty komendanta nie zrobiły na Oteckim najmniejszego wrażenia. Przywitał się chłodno, wręcz wyniośle. Wyglądał jak zwykle nienagannie, niczym z żurnala dla podstarzałych playboyów. Wysoki, szczupły, z bujną czupryną ciemnych włosów sprawiał wrażenie dużo młodszego; trudno było w każdym razie zgadnąć, że ma już prawie pięćdziesiąt lat.

Zaproszony do pokoju usiadł od razu przed właściwym biurkiem, założył niedbale nogę na nogę, wyjął paczkę zagranicznych papierosów i elegancką zapalniczkę.

—O ile nie utrudni to panom pracy — zaczął grzecznie, lecz czuło się w jego głosie ton typowy dla ludzi nawykłych do kierowania innymi — prosiłbym o odłożenie przesłuchania na późne popołudnie. Moja sekretarka usiłowała połączyć się z wami, ale — jak się okazuje — łatwiej byłoby połączyć się z Pernambuko niż z Wydarzynem. Mam ważną naradę i zaraz potem konferencją prasową.

— Skoro jednak pan już przyjechał...

—Musiałem — przerwał komendantowi Otecki. — W przeciwnym razie pańscy ludzie zaprowadziliby mnie siłą do radiowozu.

—Ależ dyrektorze — komendant rozłożył ręce tak, jakby chciał go do serca przytulić — co pan mówi? Kto by użył siły wobec pana? Skoro jednak pan tu już jest, to teraz trzeba się tylko maksymalnie skupić i pośpieszyć. Zwłaszcza że na pewno nie jest to nasza ostatnia rozmowa. Pana, jak już wiadomo, nie było wtedy w Wydarzynie. Może jednak pan wie, co zamierzali robić tamtego dnia Szul i Barańska?

Otecki najpierw zapalił papierosa.

—Więc tak drobnej sprawy nie można odłożyć o parę godzin? — spytał oziębło.

—Taka drobna to ona nie jest — rzekł równie oziębło Nowak. — Dwoje ludzi nie żyje. Gdzie był wtedy Szul?

—Nie wiem: Wróciłem z Krakowa następnego dnia wieczorem. Oboje — głos Oleckiego jakby się załamał — już wtedy nie żyli.

—Nie mówili panu, gdzie zamierzają wyjść lub wyjechać?

—Rozliczałem Szulę z prac, które polecałem wykonać. Reszta mnie nie interesowała.

—Patrycja Barańska również pana nie interesowała?

Otecki spojrział na komendanta ze źle tajoną pogardą.

—Pani Barańska była wyłącznie moją znajomą — wyjaśnił, cedząc poszczególne słowa. — Można to nazwać nawet bliską znajomością, lecz reszta to tylko wiejskie plotki. Rozwodzę się z żoną nie z tego powodu. Doszło do mnie, przyznaję, że Patrycja spotkała się właśnie tamtego dnia z Szulem w Warszawie. Nie przypuszcza pan jednak chyba, że otrułem ich z zazdrości, co?

—Kiedy pan poznał Barańską?

—Dawno.

—To nie jest odpowiedź.

—Trzy, cztery lata temu. Przyjaźniła się wtedy z Cezarym Kraczkim.

—Czy utrzymywał pan z nią kontakty, gdy była we Francji?

Prokurator przysłuchujący się z boku nie potrafił ukryć zaskoczenia, a i Otecki był zaskoczony, z tą jednak różnicą, że wyraźnie niemile.

—Luźne — odpowiedział po chwili. — Sprowadzające się do pocztówek z pozdrowieniami.

—Takie luźne to one chyba nie były, panie dyrektorze, skoro zaraz po przyjeździe z Francji, jesienią ubiegłego roku, widywało się Barańską w pańskiej willi niemal każdego dnia.

—Nie pracowała, miała dużo wolnego czasu, prowadziła więc szerokie życie towarzyskie. Lubiła nas odwiedzać.

—Was? O ile dobrze pamiętam, Martyna Szamiłło już wtedy z panem nie mieszkała.

—To prawda — przyznał. — I myślę, że nie muszę teraz mówić o moich sprawach małżeńskich. Fakt, że i żona opuściła mnie, nie oznacza jednak, że przez ten cały czas byłem sam w domu. Mam wielu przyjaciół, poza tym moja praca zawodowa wymaga podtrzymywania pewnych kontaktów. Krótko mówiąc — niemal każdego dnia goszczę w moim domu takich ludzi, których i wy chcielibyście pewno poznać. Nic zatem dziwnego, że Patrycja tak chętnie mój dom odwiedzała.

—Czy z Szulem też się przyjaźniła?

—Nonsens.

Nowak na chwilę zamilkł i popatrzył na prokuratora. Ten jednak wyraźnie nie miał ochoty zadawać pytań.

—Jak pan myśli — zwrócił się znowu do Oteckiego — dlaczego tylko tych dwoje nie żyje?

—Wiecie już przecież. Sami mówiliście, że otruli się truskawkami.

—Pytam, dlaczego tylko oni zostali otruci.

—Nie jestem jasnowidzem — odrzekł ironicznie. — Kto miałby się jeszcze otruć? Mnie nie było, Kraczek nie dotyka truskawek pod żadną postacią, ma na nie uczulenie.

—A nie domyśla się pan, kto mógłby je zatruć?

Otecki zamilkł, zastanawiając się nad czymś.

—Przypuszczam... — zaczął i urwał. — Obawiam się... — znowu urwał.
— Nie wiem, jak to panu powiedzieć...

—Zwyczajnie — zachęcił Nowak.

—Szul był raczej solidny w swojej robocie, ale i też — jak sam pan pewnie wie — lubił sobie popić. Mnie się wydaje, że to był tragiczny wypadek. Może Szul zabrał się do podlewania truskawek w stanie niezupełnie trzeźwym?

—I pomylił truciznę z wodą? — Nowak miał ochotę popukać się w czoło.

—Tak właśnie przypuszczam. Wiem, że brzmi to nieprawdopodobnie. Wczoraj jednak wieczorem... — Otecki znowu urwał.

—Spokojnie, dyrektorze, spokojnie i po kolei.

—Pamięta pan, jakie były wtedy upały?

—Pamiętam. Wyjątkowe.

—Truskawki wysychały. Powiedziałem Szulowi, żeby częściej podlewał. Wczoraj zaś, gdy wróciłem do domu, zobaczyłem, że usychają kwiaty na rabatach. Ustawiłem tam spryskiwacz, wie pan, taki kołowrotek podłączony węzem gumowym do kranu. Nikt od czasu śmierci Szula nie używał tego urządzenia. Odkręciłem kran w kotłowni i cała ta maszyna wyleciała pod ciśnieniem z końcówki węza gumowego. Tak to stwierdziłem, że spryskiwacz jest zepsuty. Nie wykluczam zatem, że Szul użył opryskiwacza plecakowego. Mam dwa tego typu. Oba stoją w magazynku. W jednym jest resztką jakiejś cieczy. Chciałem pana zawiadomić o tym dziś rano, no, ale jak już mówiłem, łatwiej byłoby połączyć się z Pernambuko niż z Wydarzynem.

W pokoju zaległa cisza.

—No, cóż — rzekł wreszcie Nowak. — Tragiczna pomyłka wcale nie jest wykluczona. Może pan wracać do Warszawy. Poprosimy Kraczka, żeby otworzył magazynek, ma chyba klucze?

— Cezary wie, gdzie są zapasowe klucze do wszystkich zamków.

—To dobrze. Zabierzemy wszystko, co nas zainteresuje. Jedno mnie tylko zastanawia, dyrektorze — jeśli ta resztką cieczy będzie tym właśnie preparatem uśmiercającym, to kto i w jakim celu sporządził takie stężenie?

Otecki rozłożył bezradnie ręce. Zaraz jednak począł wyjaśniać bardzo spokojnym tonem:

—Niewykluczone, że Szul z jakiegoś powodu przelał preparat z butli do opryskiwacza. Wie pan, nie wszystkie opakowania są trwałe, zwłaszcza że najczęściej robi się je z mas plastycznych. Może więc przelał i później o tym zapomniał? Teraz pozostają już tylko domysły. Ale jedno jest pewne, panie kominde: nikt z nas nie chciał ich śmierci. Nikt. Nawet moja żona. Nie jest to kobieta, z którą chciałbym dalej żyć, ale nie jest to też kobieta, która potrafiłaby z zimną krwią mordować. Zakładając zaś, że mogłaby, otrulałaby przede wszystkim mnie. Podobno ludzie w Wydarzynie mówią o zemście i przypisują ją Martynie. Nonsens — tu dyrektor wzruszył pogardliwie ramionami.

—Ludzie w Wydarzynie mówią też o karze boskiej — wyrwało się Nowakowi i chciał przy tym machnąć ręką, lecz ręka zastygła mu w powietrzu. Ku jego bowiem niezmiernemu zdziwieniu Otecki drgnął po tych słowach jak rażony prądem.

—Ot, takie ludzkie gadanie — odpowiedział, starając się dać dyrektorowi do zrozumienia, że w co, jak w co, ale w siły nadprzyrodzone absolutnie nie wierzy. Otecki, chłodny i wyniosły, pożegnał się wręcz lodowato. Akurat w momencie, gdy wychodził, przyjechał kapitan Niziołek. Minęli się w drzwiach, przy czym Oteckiemu najprawdopodobniej w ogóle nie zaświtała myśl, aby ustąpić miejsca. Wyszedł niemal odpychając kapitana.

—A co to za taran? — spytał Niziołek zamykając za sobą drzwi.

—Dyrektor Otecki we własnej osobie.

—Aha, rozumiem... Wyglądał tak, jakby nagle stracił wzrok. Poduczyłeś naszego małego? — wskazał ręką na prokuratora.

Nowak uśmiechnął się zagadkowo, zanim odpowiedział dość dwuznacznie:

—Chyba go czegoś nauczyłem. A tak na marginesie, kto w końcu prowadzi tę sprawę? Stażysta czy ty?

—Niestety, dalej ja — skrzywił się Niziołek. — A już jechałem nad morze. Na czym stoicie?

—Na tragicznym wypadku — odrzekł komendant i zrelacjonował zeznania dyrektora Oteckiego.

—Sprawdzimy, zobaczymy — zdecydował Niziołek. - A ty skąd wzięłeś tę trującą maź truskawkową? Przecież wszystkie próbki, pobrane z ogrodu Oteckiego, były czyste.

—Nie zapominaj, Tymoteusz, że pod koniec tamtego dnia była huraganowa burza — odpowiedział udając, że nie usłyszał pytania.— Lało lak, że ludziom pozalewało piwnice. Padało jeszcze i następnego dnia. Jeżeli truskawki były spryskane rano, deszcz mógł wszystko spłukać. Należałoby wziąć próbki z gruntu, ale teraz...

—Lało rzeczywiście solidnie — zgodził się Niziołek. — Myślę jednak, że coś by na truskawkach zostało, choćby w niewielkim stężeniu. A były czyste. Skąd więc wzięłaś tę maź?

Nowak najpierw podrapał się w głowę, potem wyjął paczkę papierosów i długo na nią patrzył, w końcu wstał od biurka, podszedł do okna, odwrócił się tyłem i milczał.

—Bolo, napisz w tej sprawie raport - powiedział po dłuższej chwili kapitan. — Nie musimy teraz o tym mówić. Wychodzi jednak na to, że znasz truciciela.

— Wiem, kto te truskawki zakopał i gdzie, nie mam jednak świadków — odpowiedział nie odwracając się od okna. — Nie znajdziesz na tej mazi linii papilarnych. Nie znajdziesz żadnych śladów.

—Sam to widziałeś?

—Ktoś, ale zaprzeczy. Na razie nie ma o czym mówić. Jeżeli trzeba będzie, zmuszę go do zeznań. Zmuszę. Popełniłem gruby błąd. Postaram się sam to naprawić.

—No i dobrze — zwięźle ocenił sytuację kapitan. — Grunt, że wiesz, kto to. Może sprawa poleci migiem i jeszcze zdążę wyjechać nad morze. Skontaktuj się ze mną wieczorem — rzekł na pożegnanie i odjechał.

Nowak nie był aż takim optymistą. Czekał na Martynę Szamiłło i wcale nie zakładał, że jej zeznania będą ostatnim rozdziałem w tej sprawie. Nic mu się bowiem nie układało w całość. Wręcz przeciwnie — wszystko przeczyło logice. Gdyby Szamiłło zatrąła truskawki, nie wiozłaby ich ze sobą. Skoro wzięła kobiałkę, to dlaczego wyrzuciła truskawki tak jawnie, niemal na widoku publicznym? Truskawki były zatrute, lecz plantacja w ogrodzie czysta. Poza tym nie pasowały do siebie pozornie błahe drobiazgi. Kraczek — jego zdaniem — czegoś bardzo się bał. Starał się jednak za wszelką cenę ukryć lęk. Normalny człowiek reagowałby w takiej sytuacji normalnie, czyli przede wszystkim uciekłby z domu, w którym można się otruć. A przecież Kraczek w ogóle nie myślał o wyprowadzeniu się z willi. I to właśnie było zastanawiające. Co go tak silnie wiązało z Oteckim? Nie znosił jego żony, bez żenady nazwał ją przekupą z bazaru, gdy tymczasem Otecki wyraźnie bronił Martynty Szamiłło. Nic przypisywał jej w każdym i&znie złych zamiarów.

—Nic nie trzyma się kupy — rzekł do prokuratora, sprawdzając swoje notatki. — Absolutnie nic, prawda?

—Głupio wyszło, komendancie, chciałbym pana przeprosić — począł się usprawiedliwiać tamten. — Po prostu źle zrozumiałem mojego szefa. Nie jestem już stażystą. Myślałem, że...

—To już nieważne. Drobiazg. Ważniejsze, czy chodzi panu coś po głowie. Chodzi?

—Niewiele — przyznał zmieszany. — Barańska miała tamtego dnia gdzieś wyjechać. Lekarz o tym mi mówił.

—Jaki lekarz? — spytał zdumiony.

—Kraczek.

—Ach, on. Można byłoby więc założyć, że gdyby wyjechała, toby żyła — rzekł Nowak ot tak i naraz klepnął się z całej siły w głowę. — Kurza twarz! — zawołał. — To pasuje! Rozumiesz, mały? Oj, przepraszam...

—Może być „mały”. Rozumiem — odpowiedział z taką miną, z której wynikało coś wręcz przeciwnego. — Jak mogła by się otruć, gdyby tamtego dnia nie było jej w Wydarzynie?

—Nie tak, chłopie, nie tak — przerwał mu komendant. — Ucz się myśleć, ucz, może kiedyś ci się to przyda. Możemy założyć, że było to zabójstwo?

Kiwnął głową.

—Możemy założyć, że truskawki zatrul ktoś, kto jest związany z tą willą?

—Myślę, że wstępnie należałoby przyjąć taką hipotezę.

—Hipotezę... — mruknął pod nosem Nowak. — Niech ci będzie, magistrze. Skłonny jesteś przyjąć, że ten ktoś wcale nie chciał otruć Barańskiej i Szula?

—Kto w takim razie miał być otruty?

—Właśnie, mały, oto jest pytanie. Daję swój etat w zastaw, że gdybyśmy znali odpowiedź, Niziołek mógłby już marznąć nad tym wymarzonym morzem. Trzeba wszystko zacząć od nowa. Daj mi teraz te protokoły, chciałbym... —

urwał, zobaczywszy przez okno wysiadającą z granatowego fiata Martynę Szamłło. — No, idzie nasza redaktorka — oznajmił zgryźliwie. — Przyglądaj się jej, synu, uważnie. Studiuj ją sobie. Przedziwna kobieta.

Na młodym prokuratorze nie zrobiła korzystnego wrażenia. Niewysoka, drobna, ale o ostrych, prawie męskich ruchach. Spodnie, nazbyt obszerna bluzka, parciana torba nijakiego koloru dalekie były od elegancji. I ani śladu makijażu tuszującego wiek. Nie zależało jej chyba na dobrym wyglądzie.

—Dzień dobry panom, a zwłaszcza panu, panie komendancie — przywitała się ciut za głośno. — Możecie mnie zamknąć. Popełniłam przestępstwo.

— Cóż to za karygodne przestępstwo? — spytał Nowak niby żartobliwie, wskazując Martynie krzesło.

—Nie dałam się wsadzić do radiowozu. Dopóki nie mam skutych rąk, wolę jeździć samochodem ojca. Ci z radiowozu byli bardzo niezadowoleni.

—Skoro nie szkoda pani benzyny...

—Kupuję na lewo.

Nowak spoważniał.

—Zależy pani na państwowym wikcie? — spytał, bębniąc palcami po biurku.

—A jednak pan straszy — odpowiedziała mrużąc szyderczo oczy. — I jak tu wierzyć gazetom, komendancie? Na razie chyba nie zamykacie ludzi za to, że kupują od innych przydziałową benzynę?

—Najlepszą metodą obrony jest atak, tak pani myśli, co? — rzekł Nowak tonem mocno powątpiewającym w słuszność takiej metody. — Nie wyprowadzi mnie pani z równowagi. Zapewniam. Możemy się nawet o to założyć, szanowna pani redaktor.

Martyna uśmiechnęła się zagadkowo.

—Zaczynamy po kolei — przystąpił do rzeczy. — W czwartek przyjechała pani do Wydarzyna...

—... około dwunastej — uzupełniła. — I mam na to świadków. Do jedenastej byłam bowiem w redakcji.

—Doskonale.

—Nikogo w domu, niestety, nic było — kontynuowała nie czekając na pytania. — Mam w ogrodzie kilkadziesiąt sztuk unikalnych róż, zabrałam się więc do wyrywania chwastów. Pełnam, plątałam się po całej posesji, opalałam się, rozmawiałam przez siatkę z naszymi sąsiadami i tak zeszło mi trochę czasu. Przed wyjazdem zebrałam kobiałkę truskawek.

—Jadła je pani?

—Moi rodzice oduczili mnie jeszcze w dzieciństwie jedzenia nie mytych owoców. Kto by przypuszczał że kindersztuba uratuje mi życie, prawda?

—Ani jednej nie skosztowała pani? - Nowak wyraźnie nie wierzył.

—Ani jednej, panie komendancie. Gdyby nie zamykano tak szczelnie przede mną domu, może bym już nie żyła.

—Nic ma pani kluczy do własnego domu?

—Przecież pan doskonale wie, że wszystkie zamki zostały zmienione. Mogę wejść do środka tylko wtedy, gdy są lokatorzy albo mój małżonek. Dokładniej zaś — mogę skorzystać z łazienki. W drzwiach do pokoi też są już zamki. Małżonek odciął mnie nawet od wody na podwórzu. Kran przed wejściem do kotłowni został zlikwidowany. Jeżeli więc nie ma w domu nikogo, myję ręce suchą szmatą. I widzi pan, jak mawiała moja babcia — nie ma tego złego, co by w końcu na dobre nie wyszło.

—A co pani zrobiła z zebranymi truskawkami?

—Wyrzuciłam je — odpowiedziała spokojnie, lecz w jej oczach pojawił się złowrogi wyraz.

—Dlaczego? — Nowak wcale nie musiał ukrywać zaskoczenia. Nie przypuszczał, że Martyna tak właśnie odpowie. Zakładał, że przygotowała sobie inną wersję.

—Ponieważ miały dziwny zapach — wyjaśniła nadal bardzo spokojna. — Kiedy zrywałam je, nie czułam tego zapachu. Kobiałkę postawiłam na tylnym siedzeniu w samochodzie. Samochód stał wprawdzie pod drzewem, ale upał był wtedy nieznośny. Gdy wsiadłam, myślałam, że się w tym rozpalonym pudle blaszanym uduszę. Odjechałam spory kawałek i poczułam, że skądś zalatuje dziw-

nie ostry zapach. Zjechałam na bok szosy tuż przy lasku i zaczęłam wszystko obwąchiwać jak pies policyjny... przepraszam: milicyjny. Truskawki wyglądały pięknie, były duże i ciemnoczerwone, pachniały jednak wstrętnie. Wyrzuciłam wszystkie i przysypałam ziemią, żeby ptaki nie zjadły.

Nowak, z początku zaskoczony zeznaniami Martynty, siniał niemal z każdym kolejnym jej zdaniem. Obawiał się bowiem najgorszego. Tego mianowicie, że jego brat zdążył o wszystkim ją uprzedzić.

—Ptaków było pani żal, a ludzi nie? — wysyczał hamując narastającą wściekłość.

—O co panu chodzi? — spytała wyzywająco.

—O tych, którzy nie żyją!

—Przecież nie zmuszałam ich, żeby jedli zatrute przez siebie truskawki — odcięła się ostro. — To nie ja, lecz oni rządzą się w moim domu i w moim ogrodzie. Silna grupa pod wezwaniem Oteckiego. Skoro stwierdzili, że truskawki wychodzą im już uszami i skoro zadziałali metoda ogrodnika — sam nie zje, ale i drugiemu nie da — to co, miałam przyjść do pana i poskarżyć się, że oblali czymś cuchnącym moje truskawki? A pan może zaraz by tam pojechał i pogroził im palcem, co? Nie wiedziałam, że była to tak silna trucizna. Myślałam, że zlali fekaliami z szamba.

Nowak wpił się wzrokiem w twarz Martynty. Ogarniała go już szewska pasja.

—Zna pani mego brata? — wycedził przez zaciśnięte zęby.

—Chyba nie aż tak dobrze, jak pan — odpowiedziała. Uśmiechnęła się kącikiem ust. Wyraźnie kpiła.

—Często się widujecie? — cedził nadal przez zęby.

—Już aż dwa razy. W ubiegły piątek przyszedł do redakcji, przedstawił się i powiedział to, co powiedział. Wczoraj 'wieczorem wprosił się do domu. Nie lubię nie zapowiedzianych wizyt: Pan Andrzej Zieliński ma paskudne maniery, nieprawdaż komendancie?

—Co pani powiedział?

—O, jak na oceanografa jest nawet zanadto gadatliwy. Może rekompensuje sobie miesiące milczenia na oceanach? Dowiedziałam się na przykład, że podobam mu się, ale to zapewne pana nie interesuje. Wracając zaś do tego, co pana najbardziej interesuje — mogę wskazać dokładnie, skąd zrywałam truskawki. I powinien pan wiedzieć jeszcze o tym, że truskawki stały się przedmiotem idiotycznej wojny. Dla mnie zostawały tylko niedojrzałe. Powiedziałam więc mojemu drogiemu małżonkowi, że chciałabym na własne oczy zobaczyć, jak wicedyrektor centrali handlu zagranicznego czołga się na czworakach między rządkiem i zrywa nawet te, które mogą dojrzeć za parę godzin. Był oburzony. Zaproponowałam mu wtedy, żeby wytresował swoich lokatorów, zakazując im zrywania truskawek z paru rządaków. O ile dobrze pamiętam, rozmawialiśmy sobie tak serdecznie na parę dni przed śmiercią Barańskiej i Szula. Oczywiście nie wytresował ich. Ale właśnie w czwartek stał się cud. Ja byłam w Wydarzynie i truskawki były czerwone. Nie wierzyłam własnym oczom. Nazbierałam całą kobiałkę, a mogłam zebrać jeszcze więcej, lecz drugiej nie miałam. Przypuszczam, że Barańska i Szul okazali się równie chciwi, jak ja. I mogę panu podsunąć pewien wniosek — oni na pewno nie wiedzieli, że truskawki są zatrute. Drugi wniosek niech pan sam sobie wyciągnie.

Nowak słuchał uważnie, lecz nie wierzył w ani jedno słowo Martyny.

—Sugeruje mi pani, że Otecki chciał w ten sposób raz na zawsze uwolnić się od żony?

—Tak właśnie myślę.

—Ależ to bzdura! Co trzecie małżeństwo się rozwodzi, trupy padałyby więc gęsto i często.

Martyna zapaliła papierosa, nie pytając o pozwolenie. Zachowywała się tak, jakby nagle zaczęła przeraźliwie się nudzić. Demonstracyjnie zerkała na zegarek.

—Spiesz się pani?

Nie odpowiedziała. Spojrzała tylko na komendanta takim wzrokiem, jakim patrzy się na dobrze umytą szybę.

—Ktoś więc chciał panią otruć, tak?

—Nie ktoś, lecz Otecki.

—Co pani usiłuje mi wmówić! — krzyknął z niepohamowaną już złością.

Uśmiechnęła się sztucznie, w teatralnym raczej stylu.

—Szkoda, że się z panem nie założyłam — rzekła ironicznie. — Podobno trudno wyprowadzić pana z równowagi.

—Czy pani nie zdaje sobie sprawy z tego, co się stało? — Nowak podszedł do Martynty tak blisko, że machnął dłonią niemal przy jej oczach.

—Owszem. Dwoje ludzi nie żyje — odpowiedziała, odchylając się demonstracyjnie do tyłu. — Kłamałabym jednak, gdybym powiedziała, że jest mi ich żal. Wyrządzili mi większą krzywdę niż pan myśli. Byli ludźmi podłymi, zwłaszcza Szul. Prymitywny knajak wydarzyński. Z jakąż satysfakcją panoszył się przy mnie. Więc choć śmierć zawsze jest czymś strasznym, nie było mi ich żal nawet przez sekundę. Przyjęłam tę wiadomość z dokładnie takim samym uczuciem, z jakim czytam nekrologi obcych mi ludzi. Lecz chciałabym pana zapewnić, że gdybym ja truła, otrujęm wyłącznie mojego męża. Oświadczam jednak, że go nie otruję. To byłoby za proste. Należy mu się inna zapłata — tu głos Martynty zabrzmiał złowrogo. — Interesują pana te zatrute truskawki, czy nie? — spytała po zaczerpnięciu głębszego oddechu.

Nowak zastanawiał się chwilę nad odpowiedzią, w końcu postanowił powiedzieć prawdę.

—Pani Szamiłło — zaczął, patrząc uważnie w jej oczy — próbki były czyste.

Nie zdenerwowała się, choć była wyraźnie zaskoczona tą informacją.

—Braliście próbki z każdego krzaczka? — spytała po krótkim namyśle.

—Po co? — wzruszył ramionami. — Z kilkuset sadzonek? Do dziś trwałyby jeszcze analizy.

—No, to jesteśmy w domu — stwierdziła z ulgą. — Metodą toto-lotka uzyskaliście nieprawdziwe wyniki. Tu ma pan plan grządek — i wyjęła z parcia-nej torby kartkę, na której wzdłuż granatowych linii narysowane były w różnych miejscach czerwone kółka.

Nowak aż potrząsnął głową, patrząc na tę kartkę.

—Po co mi to? — spytał zdumiony. — Jeśli trzeba będzie jeszcze raz pobrać próbki, pójdzie pani z nami i wskaże te miejsca.

—Nie pójdę — powiedziała bardzo wolno, ale i dobitnie.

—Redaktorko kochana, toż to przecież dziecinada — ocenił, pstrykając palcem w kartkę z planem grządek. — Zabawa w podchody albo w policjantów i złodziei.

—A ja nie pójdę — powtórzyła stanowczo. — Jeżeli mnie tam siłą zawieziecie, będę stała jak słup soli i udawała niedorozwiniętą.

Nowaka ogarnęły mieszane uczucia. Z jednej strony nic a nic nie wierzył Martynie, z drugiej zaś coraz bardziej zastanawiało go to, co mówiła.

—Więc pani rzeczywiście przypuszcza, że Otecki zatrul truskawki? — Powiedział to tak, jakby chciał dać jej do zrozumienia, że na pewno nie da z siebie Zrobić wariata. — Chciał uwolnić się od żony i zagrabić majątek?

—On bardzo kocha pieniądze. Dużo pieniędzy. Bardzo dużo pieniędzy. Many, many, many.

—Skoro pani tak myśli — rzekł ironicznie — to należałoby trzymać się jak najdalej od tego domu.

—Przyjechałam dziś po raz pierwszy od czwartku. Byłam wprawdzie w sobotę, ale nie w moim domu. Podjechałam tylko pod lasek i zabrałam trochę tej paćki truskawkowej. Znajoma znajomej zgodziła się zbadać, czy i czym były zatrute.

—Ach, to dlatego ten kopczyk był taki świeży... — rzekł Nowak sarkastycznie. — Ma pani rozległe znajomości — ocenił z udawanym podziwem. — I czym były zatrute?

—Jakaś dziwną mieszanką w bardzo silnym stężeniu.

Uznał, że dalsza rozmowa traci sens. Był już zmęczony, a po głowie kołatały mu się najdziwniejsze myśli. Spytał tylko na koniec, czy Martyna ma genialną pamięć wzrokową. W lot pojęła jego pytanie.

—O zatruciu Barańskiej i Szula truskawkami wiedziałam od was już następnego dnia. Pamięć wtedy miałam jeszcze bardzo świeżą. Poza tym ktoś po-

zostawił dojrzałe truskawki w takich miejscach, że zastanawiało mnie to już przy ich zrywaniu. Niech pan spojrzy na kartkę — zaproponowała. — Widzi pan?

Spojrzał, zaraz jednak wzruszył ramionami. Pożegnał ją oschle, poczekał przy oknie aż odjedzie.

—No i widzisz, chłopie — stwierdził zniechęconym głosem, nie odwracając się od okna — co za pioruńska baba? Przyszło ci coś do głowy, gdy ją świdrowałeś oczami?

—Nie chciałbym mieć takiej żony — bąknął niepewnie prokurator.

—Ja też bym sobie takiej nie życzył — zgodził się Nowak. — Ale nie o żony nam teraz chodzi. No — zachęcał. — Masz młody mózg i ani źdźbła rutyny. Co o tym wszystkim myślisz?

—Jest ostra, bardzo pewna siebie, denerwująca, niesympatyczna, inteligentna i wyraźnie nie kocha milicji...

—Dokładnie tak samo mógłbym dziś rano ciebie określić, a przecież nie podejrzewam prokuratora o trucie ludzi.

—Chciałem powiedzieć tylko to — odciął się zagniewany — że mimo tych wszystkich nieprzyjemnych cech ja jej wierzę. To znaczy — poprawił się zaraz — zakładałbym, że mówi prawdę.

— A jednak? — Nowak nie spodziewał się takiej odpowiedzi. — Trzeba się więc przekonać, czy nie jesteś zbyt łatwowierny. Jedź do swego szefa, a przy okazji podrzuć tę kartkę Niziołkowi, zreferuj mu wszystko. I jeśli ktokolwiek cokolwiek ma jeszcze badać, niech te ekipy analityków przyjadą do Oteckiego jak najszybciej. Idę do domu coś zjeść. Gdybyś tu dziś wrócił, przyjdź na pierogi z truskawkami A tak na marginesie jak ty, człowieku, masz właściwie na imię?

—Napoleon.

—Chryste! A nie masz drugiego?

—Nie dali — odrzekł wcale nie speszony. — Może pan mówić do mnie tak, jak wszyscy: Poldek. Mój ojciec miał i ma kompletnego bzika na punkcie Napoleona. Niestety, zawiodłem go na całym froncie. Jestem jego Waterloo.

—No, to przyjdź, Waterloo, na pierogi, dobrze?

—Przyjdę, szefie.

VII

Grzegorz Makowski dowiedział się o śmierci Barańskiej i Szula dopiero po paru dniach, osobiście od naczelnika gminy Wydarzyn, który podał go do sądu za „świadome szkalowanie organu administracji terenowej”. Reportaż o zamkniętym szpitalu, który wreszcie się ukazał, wywołał wręcz burzę. Chodziły nawet plotki, że redaktor naczelny zostanie zwolniony, ponieważ dopuścił do publikacji artykułu sugerującego, iż „wraca stare”. Do redakcji przyszedł list z kilkudziesięcioma niewyraźnymi podpisami, w którym mieszkańcy Wydarzyna wyrażali powszechne oburzenie z powodu „nadszarpywania autorytetu terenowego organu administracji państwowej”. Rozdzwoniły się telefony, wezwano Grzegorza na rozmowę do ministerstwa, gdzie zażądano od niego, aby w ciągu trzech dni przygotował artykuł, ukazujący całą prawdę o wydarzyńskim szpitalu. Jeden z dyrektorów departamentu poinformował go aż nazbyt szczerze, że szpital miał być zamknięty już latem 1980 roku, ale akurat „zaczęło wrzeć w kraju, panie redaktorze, strajk za strajkiem, no i po cichu wycofaliśmy się z tej decyzji, żeby nie podburzać ludności”.

Grzegorz nie usiłował bronić się, uprzejmie wysłuchiwał wszystkich zarzutów i pretensji, nie wdając się w żadne dyskusje. Nie zamierzał oczywiście przyznawać się w sądzie do winy i to nawet wtedy, gdyby naczelnik zażądał symbolicznej kary w postaci uiszczenia jakiejś tam wpłaty na cel społeczny. Zależało mu bowiem na tym, żeby naczelny redaktor, który poszedł mu na rękę, nie stracił etatu., a nie straci go tylko wtedy, gdy naczelnik gminy nie wygra sprawy w sądzie.

Nie przejmował się znaną całą tą aferą, nie po raz pierwszy miał przecież tego rodzaju kłopoty, choć po raz pierwszy czekała go sprawa karna. Uznał to wszystko za nieistotne drobiazgi, gdy dowiedział się od naczelnika, że Barańska i Szul zostali otruci.

Prosto z Wydarzyna pojechał do Szamiłłów. Był przekonany, że jeśli nawet nie zastanie Martyny, dowie się czegoś więcej od jej rodziców bądź siostry.

Tam przeżył drugi wstrząs. Nic nie wiedzieli. O śmierci Barańskiej i Szula dowiedzieli się dopiero od niego. Wpadli w taki popłoch, że Grzegorz wbrew samemu sobie począł ich uspokajać, a nawet lekceważyć całą sprawę. Narastały w nim jednak coraz gorsze podejrzenia. Wydawało mu się to wprost nieprawdopodobne, wmawiał sobie, że nigdy nie uwierzy w aż taką mściwość Martynty, ale wszystko układało mu się w ponurą całość.

Rodzice Martynty, wzburzeni wiadomością o otruciu Barańskiej i Szula, wylewali przed Grzegorzem swoje żale. Przestała z nimi szczerze rozmawiać, przyłapano ją na paru drobnych kłamstwach, w gruncie rzeczy nieważnych, ale jednak. Zaczęła zadawać się z jakimiś dziwnymi ludźmi i instytucjami, w ostatnich dniach co i rusz ktoś telefonuje do nich, prosząc, aby pilnie zgłosiła się tu bądź tam. Boją się, że trafi wreszcie do więzienia. Są już pewni, że przeszła do nielegalnej opozycji, telefonowano przecież do niej z kościoła świętego Marcina. Boją się, że Ryszard, który zaledwie miesiąc temu wrócił z Białoleki, może właśnie przez nią mieć bardzo poważne kłopoty. W zaufaniu zwierzyli się, że niemal każdego dnia robią domową rewizję, szukając ulotek, broszur albo i czegoś jeszcze gorszego. A teraz to otrucie... Po co ona jeździ do Wydarzyna? Dlaczego przeciąga sprawę rozwodową? Otecki przecież będzie musiał wszystko jej oddać, to tylko kwestia czasu.

Grzegorz wyszedł od nich z silnym bólem głowy. Był tak zdenerwowany, a zarazem przybity, że nie zastanawiając się długo postanowił jechać do Płocka. Dowiedział się bowiem od rodziców Martynty, że właśnie tam pojechała poprzedniego dnia wieczorem i ma wrócić dopiero pojutrze. Na dworcu autobusowym coś go jednak tknęło. Zatelefonował z automatu do przyjaciółki Martynty. Była bardzo zdziwiona. Żadnego reportażu z płockiej „Petrochemii” nie planowano w ich redakcji, a z Martyną kilka godzin temu widziała się w „Czytelniku”.

Odłożył słuchawkę tak, że niemal wyrwał widełki automatu. Silny ból głowy wprawdzie nie mijał, Grzegorz jednak nie czuł się już przybity. Gdyby go akurat w tym momencie zaczepił któryś z wałęsających się po dworcu pijaków, waliłby w niego jak w treningowy worek. Kupił w kiosku tabletki z krzyżykiem, wyjął jedną, po czym wyrzucił i w ostatniej chwili wskoczył do miejskiego autobusu. Wsiadł w Śródmieściu i po drodze do domu zaszedł do znenawidzonej przez niego „Odry”, w której wódka kosztowała taniej niż w „Forum” czy „Polonii”. „Odry” nienawidził zwłaszcza latem, gdy musiał spać przy otwartym oknie i każdej nocy wysłuchiwać dansingowego ryku.

Za dwie setki czystej i najtańsze danie, którego nie tknął, zapłacił tyle, że powinien z powrotem poczuć silny ból głowy. W domu usiadł przy telefonie i kręcił tarczą tak długo, aż znalazł Martynę. Nie prosił, kazał jej natychmiast przyjechać.

Gdy zobaczył ją przed swymi drzwiami, zląkł się, że zrobi coś głupiego, uderzy ją w twarz albo złapie za włosy. Na wszelki wypadek wsadził obie ręce do kieszeni.

—Wsypałem cię przed starymi — przystąpił od razu do rzeczy. — Są przekonani, że Otecki chciał otruć ciebie.

Nic nie powiedziała, ominęła go w przedpokoju jakby był jakimś kołkiem, usiadła i zaraz wyjęła papierosy. Nie ukrywała zdenerwowania.

— Szkoda, że dowiedziałem się o tym od waszego naczelnika — kontynuował z coraz bardziej zaciętą złością. — Będę miał sprawę karną, tak go rozwścieczył reportaż o szpitalu. Naczelny chyba straci etat. Wpuściłaś nas w takie maliny, że kto inny... — urwał, bo aż sam się przestraszył tego, co chciał powiedzieć.

—... spralby mi pysk — dokończyła za niego. — I to co najmniej. Czego ode mnie oczekujesz? — spytała jakoś tak bezradnie. — Mam cię przeproszać? Mam chodzić tam, gdzie trzeba i wyjaśniać, że naczelny poszedł nam prywatnie na rękę, publikując ten reportaż? A może myślisz, że zatrulałam truskawki i tylko przez czysty przypadek nie zżarł ich mój drogi małżonek? — mówiła coraz bardziej podniesionym głosem. — Czego się spodziewasz? No, mów, do jasnej cholery, po coś mnie tu ściągnął! — krzyczała.

Jej wybuch złości tak zaskoczył Grzegorza, że choć chciał krzyczeć jeszcze głośniej niż ona, stracił nagle cały rozpęd.

—Mogłabyś wyjaśnić, w co siebie i nas wmotałaś? — Powiedział to tak zwyczajnie, że aż sam był tym zdziwiony.

—Nie uwierzysz — odpowiedziała zaciskając mocno usta.

—Spróbuję, choć rzeczywiście wolę ci już nie wierzyć. Widzisz, Martyna, do czego doszliśmy? Nawet siebie okłamujemy.

—Ja ich nie otrulałam. To był pomysł Oteckiego. Potrafisz w to uwierzyć?

—Muszę.

—Aż tak bardzo mi nie wierzysz? — Martyna nagle spoważniała. — Boże... — szepnęła. — Jeśli tobie, Grzegorz, chodzi coś tak potwornego po głowie, to przecież... Ale mnie nie mogą wsadzić do więzienia, bo nikogo nie otrułam! Nie spryskiwałam tych truskawek! Przysięgam, uwierz mi!

—Powiedziałem, że muszę ci uwierzyć — odrzekł nielitościwie twardym głosem. — Wbrew temu, co mi chodzi po głowie. Nie zdziwiłbym się w każdym razie, gdybyś wylądowała w więzieniu.

—Nie dam się zamknąć, o, nie!

—Zwiejesz do leśniczówki? — zakpił.

—Jeśli to będzie konieczne... Wierzysz, Grzegorz, w karę boską?

Pytanie było tak zaskakujące, że na chwilę oniemiał.

—W karę boską? — powtórzył zdumiony. — Co za bzdury mi tu wciskasz?

—Widzisz, Grzegorz, ja już sama poplątałam się, pogubiłam, nie wiem... to znaczy wiem... — zaczęła chaotycznie tłumaczyć. — Te truskawki były dla mnie. Wiem, z jakiego powodu. Mam nić, ale nie doszłam jeszcze do kłębka. Spartolili robotę, a tak starannie się przygotowywali. Psycholodzy... Ta wojna na truskawki trwała zbyt długo. Musiało mnie coś tknąć, gdy w samo południe zobaczyłam na grządkach wielkie ciemnoczerwone owoce. To cud, że żyję. Gdyby nie ten kamień...

—Jaki kamień?

—Rąbnęłam o niego bosą stopą, kiedy szłam do sąsiadów umyć truskawki. Opłukanie nic by nie dało. W drodze do Warszawy na pewno zjadłabym co najmniej kilogram... Myśl sobie, co chcesz, możesz to nazywać przypadkiem, zbiegiem okoliczności, ja wolę widzieć w tym opatrność boską. W' każdym razie nie dane mi było wtedy paść trupem. Gdyby nie ten kamień, pewnie nie spojrziałabym na swoje ręce. Całe były w czerwonych plamach. Nie wyglądało to na uczulenie. I właśnie dlatego robiłam plan działki, zakreślając te miejsca, z których nie zebrałam jeszcze truskawek. Kilka krzaczków wyrwałam z korzeniami i włożyłam do puszki. Dałam je znajomej chemiczce do ekspertyzy. Kompletnie

zglupiała, choć jest nie mianowanym, a habilitowanym docentem. Dlatego później pojechałam po te truskawki, które wyrzuciłam pod lasem i zakopałam.

—Jakie truskawki wyrzuciłaś? Nic z tego nie rozumiem.

—Te, które zerwałam — wyjaśniła spokojnie — i które wiozłam w kobiałce do Warszawy, wiedząc, że muszą być czymś zatrute. Wydzielały jednak dziwny zapach, ja zaś zaczęłam czuć się jak pijana, więc ze strachu wyrzuciłam wszystkie pod lasem i przykryłam ziemią.

—Teraz pojmuje. Gdybyś jednak od razu pojechała z tą kobiałką na posterunek, nikogo nie spotkałaby kara boska — zauważył ostrożnie Grzegorz.

—Wyśmieliby mnie, wyszłabym na idiotkę — oburzyła się, zaciskając ze złości pięści. — Nie chcieli nic zrobić, kiedy prosiłam ich o pomoc przy wpuszczeniu mnie do mojego własnego domu. Rozkładali bezradnie ręce, gdy przychodziłam ze skargami, że Szul chodzi za mną z kosą i grozi najwymyślniejszymi sposobami uśmiercania. Przecinanie opon w fiacie, którym tam przyjeżdżałam, też ich nie interesowało. Radzili mi tylko jedno — żebym przestała przyjeżdżać. Mieli mnie już po dziurki w nosie, nawet komendant traktował mnie jak wariatkę. W jaki sposób udowodniłabym im, że to nie ja spryskałam truskawki?

—Teraz oni tobie to udowodnią — rzekł w posepnym zamyśleniu.

—Nie udowodnią, ponieważ tego nie zrobiłam. A jeśli poczuje, że grunt pali mi się pod nogami, ucieknę. Zresztą i tak niedługo już wyjeżdżam na urlop, chcę tylko jeszcze załatwić pewną sprawę. Czy Basia coś już wie o paryskich poczynaniach Barańskiej?

—A jakie to może mieć teraz znaczenie? — zdziwił się nieoczekiwanym pytaniem.

—Ma nadal. Postaraj się, Grzegorz, jak najszybciej o te wiadomości. To naprawdę jest ważne.

Chciał coś powiedzieć, ale nagle zamilkł i sięgnął po leżącą na stole paczkę papierosów. Zapalił i w wyraźnie demonstracyjny sposób zaczął patrzeć Martynie prosto w oczy.

—O co chodzi, Grześ?

—Czy jest to dla ciebie naprawdę bardzo ważne? — spytał dość dziwnym tonem.

—Nie zawracałabym ci głowy drobiazgami.

—Mogę... No, mogę nawet już jutro skontaktować się z pewnym facetem. Nie zrobię jednak tego, jeśli nie będę wiedzieć, o co chodzi.

—Ładnie to sobie wykombinowałeś — oceniła z nagłą złością.

—Albo gruszka, albo pietruszka. Mam już potąd — zrobił znaczący ruch ręką — twoich tajemnic. Szczęście, moja droga, składa się z nieszczęść, których dało się uniknąć. Mam za sobą ciężki dzień. I wolałbym nie mieć więcej takich dni. Skoro więc są to wyłącznie twoje sprawy, nie licz na mnie.

Zastanawiała się bardzo długo. Tak długo, że Grzegorz zdążył przygotować kolację. Kiedy jednak postawił na stole talerz z kanapkami, Martyna wstała i strzepując z siebie jakieś niewidoczne okruchy powiedziała dość groźnie:

— Poradzę sobie sama. Oddaj mi tę zalakowaną paczkę.

Zawahał się, postanowił jednak być konsekwentny. Wyciągnął zza pryzmy książek pakunek i podał jej. Obejrzała dokładnie sprawdzając, czy lak nie jest naruszony.

—Jeśli ktoś zacznie mnie szukać — rzekła nie zmieniając groźnego tonu — byłoby dobrze, gdybyś stracił pamięć. Nie tylko dla mnie dobrze, ale i dla ciebie. Jeżeli ci nie zależy na co najmniej paru latach więzienia, jeżeli chcesz żyć — trzymaj się od tej sprawy z daleka.

I wyszła, zegnając się niedbałym skinieniem głowy.

Grzegorz zaraz po wyjściu Martyny zamówił w centrali międzynarodowej rozmowę z Paryżem.

VIII

Wszystko w zasadzie pasowało. Resztką cieczy w opryskiwaczu plecakowym była nie rozcieńczoną mieszanką preparatów owadobójczych. Analiza liści

truskawek, pobranych z miejsc wskazanych przez Szamiłło, potwierdziła jej zeznania. Spryskiwacz obrotowy był zepsuty, przy czym nic nie wskazywało na umyślne zepsucie. W magazynku znaleziono mocno zakurzone butle plastikowe po tych właśnie preparatach, które znajdowały się w opryskiwaczu plecakowym. Jedna była pęknięta w górnej części. Przypuszczenia Oteckiego, że Szul przelał zawartość butli do opryskiwacza i później o tym zapomniał, wydawały się więc dość prawdopodobne. Wszystko wskazywało na tragiczną pomyłkę. Oba opryskiwacze były jednakowe. Co więcej — sąsiedzi Oteckiego twierdzili, że Szul tak znał się na ogrodnictwie, jak oni na kosmosie. Nieraz zwracali mu uwagę, żeby niczego nie podlewał w środku upalnego dnia, on zaś lał z gumowego węża i właśnie dlatego truskawki marniały. Wcale nie wykluczali, że zraszał truskawki z opryskiwacza plecakowego. Widzieli na własne oczy, że takim sposobem podlewał rabaty przy willi.

Mógł więc pomylić opryskiwacze. I mógł, przy czym wcale nie musiał być nietrzeźwy, tak właśnie zrosić truskawki, jak zostały zatrute: niewielkie kręgi w bardzo różnych miejscach. Po prostu „odwalił robotę”, zleconą mu przez Oteckiego.

Coraz więcej ludzi w Wydarzy nie mówiło o karze boskiej. Miejscowi nie darzyli sympatią, ani nawet poważaniem, Oteckiego i jego lokatorów. Pamiętali ciotkę Martyny Szamiłło, która osiedliła się tu jeszcze przed wojną i niemal przez pół wieku ich leczyła. Gdy Oteccy rozbudowywali jej dom, zachodzili ot tak, po sąsiedzku, żeby na własne oczy zobaczyć te cudeńka. Dyrektor Otecki szybko jednak dał im do zrozumienia, że są to progi za wysokie na ich nogi. Zaczęły też wychodzić na jaw różne machlojki, a to z przydziałem deficytowych materiałów budowlanych, a to z węglem, po który trzeba było stać nocami, gdy tymczasem Oteckiemu wieziono piękne bryły ciężarówkami. Chodziły też plotki o jakichś „lewych kredytach”. Nikt jednak z mieszkańców nie usiłował protestować. Dopiero w końcu 1980 roku, gdy władzę w Wydarzynie objął nowy naczelnik zaczęły sypać się donosy na matactwa Oteckiego. No, ale — jak mówili miejscowi — sprawie ukrecono łeb.

Nie zawrzało we wsi, gdy poszła wieść, że prawowita spadkobierczyni le-karki może mieszkać jedynie na dachu swojego własnego domu. Niektórzy wprawdzie radzili Martynie, żeby wzięła siekierę do ręki i „rozgoniła tę bandę”; częściej jednak mówiono w Wydarzynie, że na Oteckiego to i ona, redaktorka, jest za słaba.

Zawrzało dopiero po śmierci Barańskiej i Szula. Miejscowi uznali, że spotkała ich zasłużona kara boska i spokojnie czekali na dalsze pogrzeby.

Sprawa utknęła w martwym punkcie. Przesłuchano kilkanaście osób bez żadnego rezultatu. Nowak wykonał wszystko to, co do niego należało. Wersję Martyny Szamiłło, że ktoś chciał ją otruć, uznał za niedorzeczną.

Któregoś dnia żona podsunęła mu artykuł, wycięty z warszawskiej gazety i dopiero od niej dowiedział się, że Wydarzyn żyje nową sprawą. Ludzie — jak mu donosiła żona — już całkiem jawnie mówili o jakimś przekupstwie, podobno sam minister dał Kraczkowi samochód w nagrodę za to, że r.ie sprzeciwiał się zamknięciu szpitala. I nawet poszła wieść, że ktoś zbiera podpisy pod zbiorowym listem, który ma być wysłany do premiera. Nowak zakazał żonie podpisywać się pod czymkolwiek i podsumował wszystkie te wiadomości dwoma słowami — „durne gadanie”.

Był więc zaskoczony, gdy dowiedział się, że naczelnik gminy wpadł w istną furję po przeczytaniu tego artykułu. Poszedł nawet do niego i próbował przekonać, że najwyższej władzy gminnej wprost nie wypada aż tak przejmować się jakąś dziennikarską bazgraniną i miejscowymi plotkami. Popadł jednak w ogromne zdumienie, gdy naczelnik powiedział, że za całą tą sprawą stoi Martyna Szamiłło i że właśnie ją chciałby postawić przed sądem, ale „kochaś” ją zasłania.

—Podobno mieszka z nim — wyjaśniał naczelnik. — On tu łąził, rozpytywał różnych ludzi, mnie też podpuścił, że niby jestem wzorowym gospodarzem gminy i nasz urząd wygląda teraz wizytowo, a napisał całkiem co innego. Wiedział, skurczybyk, że robi krecią robotę, bo nie podpisał się swoim nazwiskiem i jeszcze dał ten artykuł do całkiem innej gazety. Nie' daruję mu tego! Jak Szamiłło chciała się mścić na Kraczkuz, to mnie nie powinni w tę sprawę wciągać. Bolo, ona jest już chyba całkiem stuknięta, co? Otecki napomknął mi kiedyś tak mimochodem, że ukrywała się, i to dość długo. Wy macie swoje dojścia, nie można byłoby jej po tej linii załatwić? I co z tym morderstwem? Ty też, nie daj Boże, wierzysz w karę boską?

Nowak Zapewnił go, że w taką karę nie wierzy, powiedział ogólnie, że śledztwo jeszcze trwa i poprosił o podanie wszystkich informacji o autorze reportażu. Prośbą tą naczelnik wyraźnie się ucieszył.

Gdy komendant wrócił na posterunek, czekał tam już na niego kapitan Ni-
ziołek.

—Karę boską, Bolo, możemy sobie skreślić — rzekł na przywitanie: —
Zabieramy się ostro do roboty. To nie było przypadkowe zatrucie.

—Masz już jakiś zamiar na tego, kto zatrzał truskawki? — Nowak nie
ukrywał zaskoczenia.

—Gdybym wiedział, kto spryskał, mógłbym już jutro jechać nad morze
— odpowiedział w taki sposób, jakby uważał pytanie Nowaka za zupełnie dzie-
cinne.

—To dalej stoimy w martwym punkcie.

—Już nie. Bolo — zaprzeczył. — Bo widzisz, ta pomyłka z opryskiwa-
czami plecakowymi wydawała się mimo wszystko dość prawdopodobna. Można
byłoby zastanawiać się tylko nad tym, czy nie wykombinowano sobie aby tej
pomyłki w celu otrucia Martynty Szamiłło.

—Ona tak właśnie twierdzi — przypomniał komendant. — Tyle że o żad-
nej pomyłce nie mówi.

—I tu ma rację. Wczoraj dostaliśmy wyniki analiz porównawczych. Z
wcześniejszych ustaleń wynikało, że truskawki były spryskane mieszanką dwóch
różnych preparatów owadobójczych, które można kupić w każdym sklepie
ogrodniczym, o ile oczywiście są w sprzedaży. Jest to, Bolo, wyższa chemia, o
której ja nie mam najmniejszego pojęcia. Rozkładano tę ciecz z opryskiwacza
plecakowego chyba na czynniki pierwsze, wiesz, na te podstawowe, i w końcu
ustalono rodzaje preparatów: „Captan” zmieszany z tym, no..., nieważne, ma ja-
kąś zagraniczną nazwę, nie pamiętam teraz. Naszym analitykom coś się jednak
nie podobało, wychodziły im — jak mi to teraz objaśniono — niewłaściwe pro-
porcje poszczególnych związków chemicznych, a może i pierwiastków, ja się na
tym w ogóle nie znam. W każdym razie z początku myśleli, że skutek połącze-
nia dwóch różnych preparatów zaszły pewne reakcje chemiczne, stąd to pomie-
szanie z poplątaniem. Zaczęli więc robić doświadczenia porównawcze, łącząc
oba preparaty w bardzo różnych proporcjach. I otóż wyszło im w końcu, Bolo, że
truciciel przełajnował. Wzmocnił mieszankę alkaloidem zawierającym azot, co
spowodowało te dodatkowe reakcje chemiczne. Popelniał gruby błąd. Pół Wyda-

rzyna można byłoby wytruć tylko tą mieszanką dwóch preparatów owadobójczych, on jednak nie był ogrodnikiem...

—Kto? — przerwał niecierpliwie Nowak.

—Truciciel. Przecież nie wiem, kto to jest. Na pewno jednak ma takie samo pojęcie o ogrodnictwie, jak ja o chemii. Obawiał się chyba, że nawet zmieszanie silnych preparatów nie wywoła szybkiego skutku, choć na każdej butli znajduje się przerażająca „rozpiska” o drgawkach, tężeniu mięśni, utracie wzroku i agonii. Ta mieszanka była mu zapewne potrzebna do tego, żeby zataić właściwą truciznę. I wiesz, Bolo, co to za alkaloid?

—Z chemii miałem ledwo tróję — przyznał Nowak.

—Nie chodzi o nazwę. To jest lek.

—Kraczek? Niemożliwe!

—Może on, może nie on, nie ma co teraz zgadywać. W waszym ośrodku zdrowia i w aptece trwa teraz spis wszystkich leków. Sprawdzana jest dokumentacja za cały rok wstecz. Chłopaki wiedzą, czego mają szukać. Jeżeli ów alkaloid stosowany w minimalnych ilościach jako lek był ostatnio szczególnie często zalecany przez doktora Kraczka, to trzeba będzie tylko poszukać motywu zbrodni.

—Dlaczego jednak Kraczek miałby ich truć? To chyba jakaś ślepa uliczka. Co tu może wchodzić w grę? Pieniądze — nie. Nienawiść — nie. Zemsta? Ale za co? Podobno Barańska była parę lat temu — jak to mówi moja żona — kochanką Kraczka, ale jakie to może mieć teraz znaczenie? Zaraz, coś mi się przypomniało... — komendant zrobił taką minę, jakby sam był zaskoczony swoim skojarzeniem. — Żona znosi do domu różne plotki, wiesz, takie babskie gadanie, którego czasem aż słuchać nie mogę. I właśnie niedawno mówiła mi coś o przekupstwie Kraczka. Że niby to sam minister dał mu samochód, tego wiśniowego fiata, w nagrodę za zamknięcie szpitala.

—Bzdura — Niziołek ostentacyjnie wzruszył ramionami. — Przecież sam wiesz, że dostał na przydział, płacąc z własnej kieszeni. — Co też ludzie nie wymyślą...

—Słuchaj jednak dalej. Nie ma dymu bez ognia. Jakiś dziennikarz... poczekaj, zaraz sprawdzę na kartce — Nowak sięgnął do kieszeni — napisał dość dziwny artykuł o naszym szpitalu.

—Nie macie przecież szpitala. Dawno już zamknięty.

—Właśnie, właśnie — przytaknął. — Grzegorz Makowski — odczytał z kartki. — Podobno, jak twierdzi nasz naczelnik, kochanek Martyny Szamiłło. Otóż ten Makowski, dziennikarz, zważył całą winę za zamknięcie naszego szpitala na naczelnika, któremu zamarzyła się wielkopańska rezydencja.

—Co ty? — Niziołek aż potrząsnął głową. — Wydrukowali coś takiego?

—Nie, skądże. Ale jak człowiek wczyta się uważnie, to do takich wniosków dochodzi. Naczelnik jest siny. Rozmawiałem dziś z nim i tak to dowiedziałem się, że za całą tą sprawą stoi Martyna Szamiłło. Podobne chciała zemścić się w ten sposób na Kruczku.

—W takim razie powinien otruć ją, a nie Barańską i Szuia — rzekł machinalnie kapitan.

—Może taki właśnie miał zamiar?

—I przez czysty przypadek Szamiłło żyje, a tamci nie?

—Nie trzeba tego wykluczać. Widzisz, Tymoteusz, to może być całkiem inna sprawa. Jaki bowiem mógł być powód otrucia Barańskiej i Szula? Zgodnie sobie żyli w tej pioruńskiej willi, Otecki napuszczał ich na swoją żonę, oni za nim stali zwartym murem i co? Nagle Kraczek albo Otecki truje kompanów? Nie pasuje, prawda? Jest natomiast coś między Kraczkiem i żoną Oteckiego. Naczelnik nazwał to zemstą. W tym układzie wszystko jest możliwe. Nie wykluczamy przecież nadal i tej najmniej prawdopodobnej wersji, że truskawki zatręła Szamiłło. Trzeba więc chyba zabrać się za szpital, co? Ten „alkacoś” dolany do opryskiwacza mógł być zabrany ze szpitala.

—No, no. mów dalej, Bolo, to wcale nie jest głupie — zachęcał Niziołek. — Szpitala w ogóle nie brałem pod uwagę. Czy ten artykuł ukazał się przed śmiercią Barańskiej i Szula?

—Nie wiem, widziałem tylko wycinek z gazety.

—Szkoda — stwierdził wyraźnie zawiedziony. — Ale to szybko się ustali. Wezwij Szamiłło i tego jej kochasia. Sprawę szpitala trzeba bardzo dokładnie zbadać. Kiedy został zamknięty?

—Tak gdzieś w końcu listopada ubiegłego roku. To znaczy wyprowadzono już wtedy wszystkich pacjentów, nowych nie przyjmowano, stawiano rusztowania tynkarskie. Tablice długo jeszcze wisiały. Zdjęto je dopiero na końcu. Naczelnik chyba nie chciał, żeby ludzie dowiedzieli się

o likwidacji szpitala. W każdym razie dopiero na początku tego roku zaczęto wywozić wyposażenie. Tak, tak, to był styczeń. Wojsko pomagało, wszystko szło więc sprawnie, w parę dni się uwinęli. Ale sam przecież wiesz, Tymoteusz, jakie są straty przy każdej przeprowadzce. Gdyby Kraczek chciał zagarnąć coś dla siebie, a znał ten szpital na pamięć, mógłby i całą ciężarówkę wywieźć.

—Całą jak całą — sceptycznie ocenił kapitan — ale rzeczywiście mógł sporo „spisać na straty”. Tylko co wspólnego ma z tym wszystkim Szamiłło?

—Też nie wiem — komendant rozłożył szeroko ręce. — Chyba jednak nie przez przypadek ukazał się akurat teraz ten artykuł, co?

—Za dużo tych przypadków, prawda? — retorycznie zapytał Niziołek.

—Bo po omacku chodzimy.

—Zawsze tak na początku chodzimy. Zabieraj się teraz, Bolo, do roboty. Szamiłło i ten kochaś, to twoja sprawa. Wyciągnij z nich, ile się tylko da. Przesłuchaj tych ludzi — podał komendantowi kartkę z nazwiskami. — Podobno sąsiad Oteckiego wygadał się przy wódce, że Szamiłło wchodziła do willi przez okno i wynosiła jakieś rzeczy.

—Przecież w oknach są kraty — zdziwił się Nowak. — Otecki założył je... — urwał nagle. — Popatrz, Tymoteusz, kolejny dziwny zbieg okoliczności — kontynuował po chwili. — Oteccy mieszkają w Wydarzynie już ze sześć lat, a kraty w oknach założono bodajże w grudniu ubiegłego roku.

—Pasuje, pasuje — kapitan aż cmoknął z zadowolenia. — Przeszukaniem willi można zająć się już jutro. Nakaz podrzuci ci Poldek. Jeśli sąsiad Oteckiego będzie się wykręcał, postrasż go, że masz świadków i sąd mu wlepi pięć lat za składanie fałszywych zeznań. Szamiłło — jeśli jest to w ogóle prawda — wchodziła przez okno do willi w pierwszych dniach czerwca. To by było chyba wszystko. Aha, zapomniałbym o jeszcze jednej sprawie...

Naraz zamilkł, wręcz zastygł, a w jego oczach malowało się coraz większe zdumienie.

—Lekarstwa... — szepnął. — Lekarstwa... — I nieoczekiwanie krzyknął, zrywając się z krzesła: — Bolo! Jesteśmy na właściwym tropie!

—Kurza twarz! — zaklął Nowak. — Jeszcze trochę, a bym się przestraszył.

—Czego?

—Gdybyś siebie widział, też byś się przestraszył. Siedziałeś jak skamieniały, szczęka ci opadła, oczy miałeś nieruchome i to twoje mamrotanie: „lekarstwa, lekarstwa”. Myślałem, że zawału dostałeś.

—I dobrze myślałeś! — krzyknął uradowany. — Tak samo myślał kierowca autobusu, kiedy Barańska upadła przy wysiadaniu w Pruszkowie. Przesłuchiwałem go dzisiaj. O tym właśnie chciałem ci powiedzieć i dopiero teraz skojarzyłem, że Barańska nie chciała żadnego lekarstwa. Tracąc przytomność zdążyła tylko tyle wyszeptać. Któryś z pasażerów miał przy sobie nitroglicerynę, usiłował włożyć jej pod język, ale nie mógł otworzyć ust, wiesz, szczękościsk... Kiedy przyjechało pogotowie, już nie żyła. Skoro zatem Barańska wiedziała coś o jakichś lekarstwach i chciała powiedzieć o tym przed śmiercią, to znaczy, że otruła się nie przez przypadek, prawda?

Nowak kiwnął głową.

—Barańską i jej układami zajmie się Pruszków — zdecydował Niziołek. — Wy spenetrujecie jeszcze raz powiązania Szula. A willę trzeba przeszukać jeszcze dziś. Jutro może być za późno, o ile w ogóle nie jest już za późno. Zaraz ściągnę paru naszych chłopaków.

Gdy usiłował połączyć się z Pruszkowem, pod posterunek podjechała pocztowa nysa.

—Panie komendancie! — zawołał mężczyzna wysiadający z szoferki.

Nowak wychylił się przez okno.

—Paczki przyjechały do pana! Mam je tu przynieść czy odwieźć do domu?

—Jakie paczki? — odkrzyknął zdumiony.

—Wartościowe. Do połowy w laku.

—Idę już, idę.

—Może dary z zagranicy? — zakpił Niziołek.

—Nie spodziewam się żadnych paczek — wyjaśnił. — Chodź ze mną. Ja już wolę dmuchać na zimne.

Gdy listonosz wyjął z nysy trzy paczki, zasnurowane i upstrzone lakowymi pieczęciami, Nowak patrzył na nie jak na granaty z wyjętymi zawleczkami. Potwierdził przyjęcie i poczekał aż samochód odjedzie spod posterunku.

—Tymek — mruknął pod nosem — ja ich nie ruszę. Nie znam tego faceta, który jest nadawcą. To może być niebezpieczna zabawka.

—Skoro do tej pory nie wybuchły — stwierdził spokojnie kapitan — to przenieśmy je w kąt ogrodu, tam, pod drzewa, i pilnuj tylko, żeby nikt ich nie ruszał. Zadzwoń zaraz do Pruszkowa. Najpóźniej za godzinę przyjedzie spec od takich zabawek.

Przyjechał po dwudziestu minutach radiowozem z przeraźliwie wyjącą syreną i natychmiast zabrał się do osłuchiwania, opukiwania i ostrożnego rozpakowywania paczek. Gdy otworzył pierwszą, zawołał Nowaka.

—Komendancie! Szkoda, że nie mamy tu lekarza. Chodźcie, chodźcie — zachęcał machaniem ręki.

Wszyscy zaraz wybiegli z posterunku, tak byli ciekawi.

—Lekarstwa? — spytał niebywale podniecony Niziołek, odpychając stojącego przed nim milicjanta.

—Narzędzia chirurgiczne. Nowiutkie.

—Nie dotykać! — rozkazał Nowak i złapał za ramię schylającego się do otwartej paczki rudawego sierżanta.

—Przecież nie wybuchnie — oburzył się rudy.

—Bomba! — sapnął kapitan takim tonem, że wszyscy oprócz komendanta natychmiast cofnęli się do tyłu. — Niech pan otwiera dalsze — polecił specjalście — a tę zabieramy do radiowozu.

W następnej paczce były również narzędzia, w ostatniej natomiast leki. Na opakowaniach widniały francuskie napisy.

—Zobacz, Tymoteusz — komendant podsunął mu pod oczy odcinek pocztowego przekazu — zostały wysłane z Poczty Głównej w dniu śmierci Barańskiej. To chyba w tym celu pojechała z Szulem do Warszawy. Drogo zapłaciła za Paryż — stwierdził ponuro, przyglądając się lśniącom opakowaniom.

IX

Zbliżał się już wieczór, gdy Nowak wracał do domu spocony, głodny i zły. Mokra koszula przyłgnęła mu do pleców, najchętniej zrzuciłby ją z siebie, nie miał jednak odwagi iść półnago przez wieś. Lepiej się cały miał takie uczucie, jakby własnym ciałem wytarł wszystkie kurze w willi Oteckiego.

Gdy wszedł do domu, żona stawiała talerz z zupą na stole.

—Muszę się najpierw umyć — powiedział z taką pretensją, że komendantowa powinna była poczuć się wszystkiemu winna.

—Bo i wyglądasz jak diabeł — przyznała zgodliwie, stawiając szybko na kuchni wielki gar. — Znaleźliście coś u Oteckiego? — spytała nalewając wodę.

—A ty skąd o tym wiesz?

—Coś ty, Bolo? — zdziwiła się szczerze. — Przecież już wszyscy w Wydarzynie mówią o tej rewizji. Wyglądasz jednak tak, jakbyś znalazł zdechłą mysz.

—Co za naród... — mruknął pod nosem i poszedł do łazienki. Rozbierając się odkręcił kran.

—Tylko nie włącz mi do zimnej wody! — krzyknęła za nim żona. — Jeszcze coś cię pokręci, a roboty w domu sporo. Jak nie naprawisz poręczy przy

schodach do piwnicy, będziesz miał trupa we własnym domu. Andrzej był u nas, ale on nie wie, z której strony młotek się zaczyna. Przyszedł pożegnać się z tobą. Jutro wyjeżdża, nie powiedział, gdzie. Może pójdiesz, Bolo, do niego i rozmówisz się jak brat z bratem, co?

Nowak nie bacząc na przestrogi żony wszedł do zimnej wody. Wiadomość o wyjeździe brata powinien był przyjąć z ulgą, a przecież się zdenerwował. Nie zamierzał oczywiście iść do niego. Uważał bowiem, że nikt go jeszcze tak nie zawiódł, jak własny brat. I do tej pory, choć wiele razy rozmyślał o tym, nie mógł pojąć, dlaczego tak się stało.

—Durny, ty durny — złościła się komendantowa dolewając do wanny letniej wody.

—Wielu wyniosłoby swoje żony pod niebiosa, gdyby byli pewni, że one tam już pozostaną — westchnął.

—Ho, ho, jakiś ty mądry — zauważyła zgryźliwie. — A wiedz, że kto z babą wojuje, pewnie pożałuje. I nie odszczekuj mi się, jak ci w robocie nie idzie. Ja nie winna temu, że dyrektorek wystrychnął was na dudka. Myj się szybko, bo jeszcze jakiegoś zapalenia z tej wody dostaniesz.

I wyszła, nie zamykając za sobą drzwi od łazienki.

„Wystrychnął na dudka” — powtórzył w myśli określenie żony i zaczął zastanawiać się, czy aby ona nie ma racji. Przypomniał sobie twarz Oteckiego, gdy w asyście paru milicjantów otwierał drzwi do willi. Był niemal szary na twarzy, a Kraczek wyglądał wręcz na zagonionego szczura. Obserwując ich komendant był pewien, że za chwilę znajdą się paczki z narzędziami i lekami. Lecz choć opukali już wszystkie meble, ściany, podłogi — nie znaleźli nic.

Parogodzinne przeszukiwanie willi, magazynku, garażu, ogrodu byłoby — jak to określał Niziołek — robotą głupiego, gdyby nie jeden, dość zresztą problematyczny zysk. Otóż zakazano Oteckiemu i Kraczkowi podchodzić do telefonu, nie uznając za konieczne wyjaśniać im tego zakazu. Słuchawkę podnosił Niziołek, zapisując nazwiska tych osób, które chciały się przedstawić oraz przekazywane informacje. W którymś momencie zatelefonowała przyjaciółka Patrycji Barańskiej i tak bardzo zależało jej na rozmowie z Oteckim, że gdy spytała, z kim mówi, kapitan powiedział jej, że z Kraczkim. Rozmowa była bardzo dziwna, okazało się bowiem, że choć kobieta ta jest w stałym kontakcie z Oteckim,

nic nie wie o śmierci Barańskiej. „Przecież pan Otecki obiecał mi wczoraj, że zatrzyma dziś Patrycję. Jej matka nie ma telefonu, a ja muszę jak najszybciej skontaktować się z nią, wyjeżdżam za parę dni na urlop do Bułgarii” — tłumaczyła z pretensją. Gdy jednak kapitan poprosił ją o numer jej telefonu, wyjaśniła, że dzwoni od znajomych, u których nie może siedzieć godzinami i czekać, aż Patrycja sama do niej zadzwoni. Brzmiało to dość prawdopodobnie. Niziołek wcale się jednak nie zdziwił, słysząc odpowiedź na swoje pytanie o jej adres. „Patrycja wie, gdzie mieszkam, a pan nie musi wiedzieć” — powiedziała z wyraźną złością i szybko zakończyła rozmowę.

Helena z Gdańska — to już jednak było coś.

Po powrocie na posterunek kapitan natychmiast zadzwonił do Pruszkowa, prosząc, aby jak najszybciej przyprawiono do komendy matkę Barańskiej, która na pewno знаła tę Helene.

Gdy odjechał, dyżurujący milicjant powiedział komendantowi, że Szamiłło i Makowski zapadli się pod ziemię, więc nie zostali wezwani na przesłuchanie.

—Zapadli się pod ziemię — mruknął Nowak półgłosem zanurzając się po raz kolejny w wodzie.

—Co mówisz? — zapytała żona zaglądając do łazienki. — Toż ty całkiem rozumu nie masz! — krzyknęła rozzłoszczona. — Wyłaż i to już! A nie zapomnij zmyć wanny po sobie.

—To twoja robota — orzekł twardo, lecz wychodząc z wanny stanął na wszelki wypadek za drzwiami łazienki. — Będiesz miała mniej czasu na ploty i latanie po kumach — dodał już mniej pewnym głosem. — Siedzisz całymi dniami w domu i tylko tyle twojej roboty.

—Cooo? — komendantowa aż wzięła się pod boki. Popatrzywszy jednak chwilę na coraz mniej pewną minę męża, podała mu świeży podkoszulek, mówiąc: — Tyle mojej rozrywki, że sobie polatam i pogadam, ot co.

—A ja się rozrywam bez przerwy — zgodził się sarkastycznie.

—Boś tak się wykierował. Popatrz na innych ludzi, jak sobie żyją. Spokojnie, bez nerwów, nie muszą bać się, że ktoś im chałupę podpali. Twoje szczęście, Bolo, że jesteś miejscowy, swój, że latałeś po tej wsi zasmarkany od ucha

do ucha. Ludzie nic do ciebie nie mają, a i ze mną gadają, nie odsunęli się, nie patrzą bykiem.

Słuchał słów żony tak, jakby zupełnie nic nie rozumiał. Myślał o tym jeszcze i w nocy, przewracając się na łóżku z boku na bok. Nie mogąc usnąć wstał p0 cichu i wyszedł na palcach przed dom. Usiadł na ławce zapalił papierosa, zapatrzył się w rozgwieżdżone niebo. Noc była ciepła i cicha, nawet psom nie chciało się ujadać. Starał się nie myśleć o tym, co mu żona powiedziała, lecz ciągle słyszał jej słowa: „Ludzie nic do ciebie nie mają... a i ze mną gadają..., ktoś im chałupę podpali... nie patrzą bykiem...” Zaczął szukać na niebie znanych mu tylko 7. nazw gwiazdozbiorów i nagle popadł w jakąś taką dziwną żalność: że matka nie żyje, że brat zawiódł i że on, w końcu komendant, nic odróżnia gwiazdy od gwiazdy. „Pięćdziesięcioparoletnia sierotka” — mruknął pod nosem, starając się otrząsnąć z nagłego żalu. Sięgnął po następnego papierosa, poczuł jednak dreszcze na całym ciele, wrócił więc do domu.

Rano wstał z potężnym katarem i rozsadzającym bólem głowy. Mimo protestów żony napił się tylko mleka i poszedł do pracy. W zapuszczonym ogrodzie przy posterunku czekał już sąsiad Oteckiego, wezwany na przesłuchanie.

—Bolo — rzekł witając się — czy ja mam teraz mówić do ciebie „komendancie”, czy też mogę po staremu?

—Mów jak chcesz, bylebyś mówił prawdę. Poczekaj jednak jeszcze trochę, muszę załatwić parę telefonów. — I kichnął siarczyście.

—Wódka z pieprzem na przeziębienie najlepsza — poradził sąsiad. — Mogę skoczyć i przynieść.

—Lepiej tu posiedź — odrzekł Nowak otwierając drzwi.

Dyżurujący milicjant był tak podniecony, że nie przywitawszy się z komendantem od razu niemal wykrzyczał:

—Pół Warszawy szuka żony Oteckiego! Prokurator i kapitan narobili straszego rabanu!

—Ciszej — Nowak wskazał ręką na otwarte okno. — Dlaczego nie zawiadomiłeś mnie wcześniej?

—A bo pan, szefie, ma zadzwonić do Niziołka dopiero punkt dwunasta.

—To skąd ten raban?

—Bo Kraczek gdzieś przepadł.

— Jak to przepadł?

—No przepadł. Nie ma go nigdzie. Podobno zaraz po naszym wyjściu z willi Oteckiego wsiadł do samochodu i gdzieś pojechał. A dyrektora zabrało w nocy pogotowie. Stan przedza wałowy.

—Leży w Pruszkowie?

—On? — milicjant znacząco mrugnął okiem. — Szefie... Od razu kazał wieźć się do lecznicy.

—Co, byłeś przy tym?

—Ja nie, ale jego sąsiad — tu wskazał ręką ogród przy posterunku — był, słyszał i już mi o wszystkim powiedział.

—A dlaczego pół Warszawy szuka Szamiłło?

Milicjant rozłożył szeroko ręce, lecz zaraz wyjaśnił:

—Domyśliłem się z tego, co mówił przez telefon Niziołek.

—Ach, tak — Nowak chciał zrobić minę pełną podziwu, ale właśnie w tym momencie kichnął parę razy.

—Oho, grypa w środku lata, to już prawdziwy pech. Przydałoby się coś mocniejszego — szepnął konfidencko milicjant.

—Dobra, dobra — odrzekł dwuznacznie i poszedł do swego pokoju. Ból w głowie narastał, usiadł więc przy biurku i wsparł się obiema rękami. Ściskanie skroni wywoływało jednak jeszcze gorszy skutek.

—Może który poleci po aspirynę! — zawołał nie ruszając się od biurka.

—Mamy w apteczce — odkrzyknął milicjant z dyżurki i zaraz przyniósł tabletki, a w drugiej ręce kubek z wodą.

—Kurza twarz! — zaklął Nowak. — Teraz będę miał w domu gdakanie a gdakanie — włożył tabletkę, do ust, sięgnął po kubek. Akurat w tym momencie zadzwonił telefon. Podniósł słuchawkę.

— Tak, tak, tak — powtarzał co chwilę, rozgryzając aspirynę. Przechylił głowę lekko do tyłu, pijąc wodę z kubka i nagle zaczął się krztusić, wręcz dusić. Poczzerwieniał na twarzy, kasłał i kichał na przemian, z trudem łapiąc oddech. W końcu rzucił słuchawkę na stół i pokazał ręką swoje plecy.

Stojący obok milicjant uderzył z całej siły tak, że Nowak miał ochotę odpaść. Nawet zwinął już dłoń w pięść, ale łapiąc głębszy oddech tylko tą pięścią pogroził.

— Jak walić, szefie, to skutecznie — usprawiedliwił się podwładny, odchodząc jednak na bardziej bezpieczny dystans.

— Nie w tę dziurkę poleciała mi woda z aspiryną wychrypiał komendant do słuchawki. — Zaraz ktoś do was przyjedzie. Dziękuję, jeszcze raz dziękuję.

— Jedna tabletką to za mało na takiego chłopaka jak pan, szefie — stwierdził milicjant wyjmując z opakowania następną aspirynę.

— Precz z tym! — wychrypiał Nowak. — Teraz właśnie przydałaby się wódka z pieprzem albo i bez pieprzu. Gdzie jest Niziołek?

— Mówił, że jedzie do Warszawy, ale miał być w paru miejscach.

— W jakich? Wyliczaj szybko.

— Najpierw miał być w komendzie stołecznej, stąd domyśliłem się, że żony Oteckiego szuka pół Warszawy. Miał też wpaść do Generalnej Prokuratury i do ministerstwa.

— Jakiego?

— Zdrowia.

— Łap książkę telefoniczną i poszukaj mi numeru do samego ministra.

— Ale kapitan miał być jeszcze...

— Łap za książkę — wychrypiał Nowak i sięgnął po słuchawkę telefonu.

Wykręcał kolejne numery po to tylko, żeby dowiedzieć się, że Niziołek albo już wyszedł, albo jeszcze nie przyszedł, albo że w ogóle nikt nic nie wie. Zniechęcony siedział przy biurku, kichając bez przerwy. Zastanawiał się, co ma dalej robić, a do dwunastej było jeszcze daleko.

Na szczęście kapitan dowiedziawszy się, że jest poszukiwany przez komendanta wydarzyńskiego posterunku, sam zatelefonował.

—Co, pali się u was, Bolo?

—Pali, pali! — wychrypiał Nowak z radością. — Nie chciałem nic robić bez porozumienia się z tobą. Makowski, wiesz, ten dziennikarz, leży w warszawskim szpitalu przy ulicy Oczki. Ponoć cudem uszedł z życiem...

—Kraczek? — przerwał mu gwałtownie kapitan.

—Makowski! Ten dziennikarz! — komendant usiłował mówić jak najgłośniej, lecz gardło odmawiało posłuszeństwa.

—Słyszę przecież! Pytam tylko, czy to Kraczek chciał go pozbawić życia?

—Strzeliłeś w dziesiątkę! Rozciął mu bark.

—I gdzie teraz jest?

—Gdzie ma być? — zapał Nowak. — W szpitalu!

—Bolo, czy ty jesteś pijany? Pytam przecież o Kraczka! Kraczka! Kraczka!

Nowak odsunął słuchawkę od ucha i dopiero gdy krzyk w niej ucichł, przyłożył ją z powrotem.

—Tego nie wiem — mówił już spokojnie. — Rozmawiałem z lekarzem, który powiedział mi tylko tyle, ile ja teraz tobie. Olecki też podobno jest w szpitalu, to znaczy w lecznicy. Dowiedziałem się o od mojego dyżurnego.

—O tym wiem. Zawał.

—Mówiono mi, że stan przedzawałowy.

—Leży na „erce”. Stan ciężki. Nikogo na razie do niego nie dopuszczają. Daję sygnał na Kraczka, a ty, Bolo, rób swoje. Trzeba jak najszybciej odszukać żonę Oteckiego. Jeśli jeszcze żyje, powinna na kolanach iść do Częstochowy. Podejrzewam, że ta pioruńska baba czegoś się domyślała. Zmieniam plan dnia. Jadę teraz do komendy, skoczę zaraz potem do tego gryziopiórka, będę z tobą w kontakcie.

Na ów kontakt Nowak czekał wiele godzin. Dopiero późnym popołudniem zajechał przed wydarzyński posterunek radiowóz. Kapitan wyglądał tak, jakby go kilka razy przekręcono przez wyżymaczkę.

— Zapadła się pod ziemię — oznajmił i ciężko usiadł na krześle. — Masz coś do picia, Bolo? Zaszło mi w gardle.

— Woda z kranu albo ziółka mojej żony — zaproponował wskazując duży termos. — Lipa z miętą — dodał.

— Cokolwiek. Bolo, gdzie ona mogła się zapaść?

— Szamiłło?

— Przecież nie królowa Bona! Dałbym sobie głowę uciąć, że ten jej pozszywany koleś Makowski oraz kochana rodzinka doskonale wiedzą, ale nie chcą powiedzieć.

— Czy jej coś grozi?

— Jeśli żyje, już nic. Kraczek siedzi na Rakowieckiej, Otecki leży pod aparaturą, pierwszy nie chce mówić, drugi nie może. Usiłowałem przekonać tego dziennikarza prośbą i groźbą. Łgał w żywe oczy... Niewiniątko z barami zapaśnika. Dowcipniś... — Niziołek parsknął pod nosem. — Powiedział mi na koniec, że zawsze daje sobie radę z bandziorami. Jak trafi na takiego, to od razu mu mówi: „Ty, koleś uważaj, bo ja znam dziu-dziutsu — karate...”, a kiedy ten pryska, dodaje jeszcze za nim — „i ze dwa albo trzy inne słowa japońskie”. Wesolek... Wyobraź sobie. Bolo, on usiłował mi wmówić, że w ogóle nie rozumie, dlaczego Kraczek chciał go uśmiercić. Szamiłło jest pilnie potrzebna. To przecież jej dom, powinna chyba wiedzieć, gdzie jest ta skrytka.

— Jest jednak jakaś skrytka? — wychrypiał zdumiony Nowak:

— Musi być. Myślę, że w willi; skoro założyli kraty, zmienili zamki i pilnowali żeby Szamiłło nie mogła wejść do domu. Czy sąsiad Oteckiego potwierdził, że wchodziła przez okno i coś wynosiła?

— Potwierdził. Powiedział, że wynosiła swoje rzeczy. Pokazywała mu nawet jakąś bieliznę.

— No, trudno. Jak się do jutra sama nie zgłosi, rozbierzemy willę aż do fundamentów. Ta Helena z Gdańska przekazała nam całą dokumentację. Francu-

zi wysłali do waszego szpitala sprzęt, aparaturę i leki wartości kilkuset milionów złotych.

—Cooo?! — zapał Nowak.

—Tak, tak, Bolo. Gra szła o bardzo grube miliony. Tyle że Barańska za późno zorientowała się, w czym wzięła udział. Chciała wyjść z tego wszystkiego obronną ręką, dlatego wysłała do przyjaciółki bardzo obszerny list w zalakowanej oczywiście kopercie wraz z prośbą, że gdyby coś się z nią stało, należy tę kopertę dostarczyć milicji. Telewizja, Bolo, to jest jednak potęga — stwierdził ironicznie. — Kształci tak, jak żadna szkoła. Gdyby to ode mnie zależało, spaliłbym wszystkie filmy kryminalne. W najgorszym razie, ale już w najgorszym, sąd wlepiłby jej karę w zawieszeniu za to, że wiedziała, a nie od razu powiedziała. Ona jednak wolała „zabezpieczyć się” listem w zalakowanej kopercie i tymi trzema paczkami, które do ciebie wysłała.

—Nie napisała, gdzie jest skrytka?

—List do Gdańska wysłała w maju. Kończy na tym, że właśnie szuka skrytki.

—To napij się, Tymoteusz, trochę tej lipy z miętą — zaproponował komendant — i powiedz mi jeszcze, co jest na początku, w środku i pod koniec listu.

—O! — Niziołek machnął ręką. — To prawie trylogia maczkiem napisana. Jutro sam przeczytasz.

—Jutro mogę mieć czterdzieści stopni gorączki. Zreferuj choć z grubsza — poprosił, nalewając do kubka resztkę ziółek.

—Z grubsza... — powtórzył kapitan. — Nie jest wcale wykluczone, Bolo, że gdyby Barańska tak kochała pieniądze, jak Otecki i Kraczek, sprawa ta nigdy nie wyszłaby na jaw. Dobrze to sobie wykombinowali, prawie bezbłędnie. Barańska organizowała dar we Francji z konkretnym przeznaczeniem. Namówiła pewnego bogacza na zakup nowoczesnej aparatury, musiała więc tam podpisać kilka dokumentów, zobowiązując się notarialnie, że dopilnuje, aby przesyłka trafiła we właściwe ręce. I to była ta pułapka, w którą później została złapana. Skrzynie przywieziono do Warszawy TIR-em wraz z innymi darami, francuski kierowca miał odpowiedni dokument i na tej podstawie zażądał, żeby Barańska

przy świadkach potwierdziła pisemnie odbiór. Chodziło o te z aparaturą, ale na adres szpitala wydarzyńskiego zaadresowanych było jeszcze kilka „zbiórkowych” skrzyń z lekami. Cała społeczna służba medyczna, urzędująca wtedy w warszawskim punkcie odbioru darów, składała się raptem z dwóch lekarzy, którzy sprawdzili dokumenty, przejrzeni skrzynie, zapisali w swoich rejestrach tę przesyłkę wraz z adnotacją, że od razu została przewieziona do szpitala wydarzyńskiego. W dniu ogłoszenia stanu wojennego rejestr ten gdzieś się zawierał.

—Jak to? — przerwał mu komendant.

—Zwyczajnie. Został ukryty wraz z innymi dokumentami. Ot, tak, na wszelki wypadek. W dodatku ci dwaj lekarze z całkiem innego powodu trafili w grudniu do Białołęki. Ale to już nieważne. Otecki i Kraczek na pewno aż na taki fart nie liczyli. Zabezpieczyli się inaczej. Kraczek jako dyrektor szpitala miał wszelkie pieczątki i dokumenty, wszystko potwierdził swoim podpisem i późnym wieczorem skrzynie pojechały dwoma szpitalnymi samochodami do Wydarzyna. Jednym jechał Kraczek, zaś karetkę pogotowia prowadził Szul, który wtedy pewnie wierzył, że zastępuje chorego kierowcę ze szpitala.

—Otecki też przy tym był?

—Skądże! — zaprzeczył Niziołek. — Tylko ta trójka. Ponieważ była już prawie noc, zostawili samochody na tyłach szpitala. Szul oddał kluczyki od karetki pogotowia Kraczkowi. Barańska pojechała do matki, do Pruszkowa. Należy przypuszczać, że właśnie tamtej nocy skrzynie z obu samochodów trafiły do willi Oteckiego. Jesienią 1981 roku dary płynęły do Polski szeroką strugą i dość często miały konkretnego adresata. Nikt w warszawskim punkcie nie wiedział, że podjęto już decyzję o zamknięciu waszego szpitala. W Wydarzynie decyzję tę znało wąskie grono wtajemniczonych. Barańska w każdym razie dowiedziała się o likwidacji szpitala dopiero wtedy, kiedy zdjęto z budynku tabliczki. Pamiętasz, sam mi mówiłeś, że zdejmowano je na końcu, bodajże w styczniu. “

—Chyba jeszcze później, dokładnie nie pamiętam. Pamiętam jednak rozmowę z naczelnikiem. Parę ważnych osobistości w naszej gminie, w tym również Otecki i Kraczek, nakłoniło go, aby nie ujawniał decyzji o zamknięciu szpitala. Było to jeszcze przed stanem wojennym, ostrzegano naczelnika, że może dojść do strajku, w całym regionie.

—Doskonale główkowali— przyznał kapitan. — Przygotowali sobie niemal idealne zabezpieczenie. Jestem przekonany, że gdyby ktoś odpowiednio wcześniej zaczął pytać o tę przesyłkę — Kraczek, a tym bardziej Otecki byliby poza podejrzeniami. Paczki zostały w zamkniętym szpitalu, dyrektor zdał wszystko razem z kluczami, ktoś więc je wyniósł albo ukradł w trakcie wywożenia wyposażenia. Nie przewidzieli tylko jednego — że wywozić będzie wojsko, a nie jacyś tam przypadkowi ludzie, zatrudnieni na godziny. Gdyby zatem ktoś odpowiednio wcześniej zaczął pytać o tę przesyłkę, wasz naczelnik na pewno nie byłby już naczelnikiem.

—Nie pierwszy i nie ostatni w naszej gminie — zauważył Nowak machając ręką. — Mów dalej, co było w liście.

—Z listu wynika, że Szul zaczął coś węszyć już w zimie. Może dowiedział się, że kierowca, którego zastępował, wcale nie był chory?

—Jego ciotka pracuje w urzędzie gminy. Niewykluczone, że od niej czegoś się dowiedział.

—Pasuje — zgodził się kapitan. — Barańskiej nie powiedział jednak, w jaki sposób domyślił się wszystkiego. Pobierał od Kraczka pewne sumki, ale w maju zamarzył mu się samochód. Poszedł pewnie na całość i dlatego nie żyje. Barańska natomiast, gdy pojęła, w czym wzięła udział, postanowiła ustalić, gdzie znajdują się skrzynie i komu sprzedawana jest ich zawartość. Dlatego nie opuściła willi po wielkiej awanturze, jaka się wtedy rozpętała. Zakładała, że szybciej uwierzemy w jej niewinność, kiedy przyjdzie do nas z takimi informacjami. Oni zaś pewnie bali się, że któregoś dnia Barańska nie wytrzyma, ujawni całą sprawę, pójdzie na parę lat do więzienia albo i nie, ale ich za sobą pociągnie.

—I myślisz, że oni obaj zatruli truskawki?

— Czort to wie — wzruszył ramionami. — Kiedy jednak obaj zostaną o to oskarżeni, zaczną się tak bronić, że w końcu jeden drugiego wsypie albo wsypią się nawzajem. Nie wierzę, Bolo, w zbrodni doskonałe. A ty może wierzysz?

—Ale. jak dotąd, nie mamy żadnego niezbitego dowodu. To ubranie i gumowce, na których znaleziono resztki trucizny, należały przecież do Szula. Poza tym nie wydaje mi się prawdopodobne, żeby Otecki zdecydował się na takie rozwiązanie. On miał zbyt wiele do stracenia. Miliony milionami, ale jego etat to też nie w kij dmuchał, zwłaszcza że podobno miał teraz iść w górę. Bar-

dziej by mi pasował na dyrygenta niż na bębniście. I z jakiej racji w tym układzie Kraczek próbował odciąć głowę temu dziennikarzowi?

—Makowski mógł mieć coś wspólnego z tą przesyłką. Był w zeszłym roku we Francji. Wyjdzie niedługo ze szpitala i o wszystkim nam opowie. A jak nie opowie, to też pójdzie za kratki. Ot i tyle w największym skrócie — Niziołek głęboko westchnął. — Szkoda mi tej kobiety...

—W końcu znalazła skrytkę i całkiem niepotrzebnie zabrała parę paczek. — Nowak też westchnął. — Tylko baba może tak pokrętnie myśleć — ocenił działanie Barańskiej.

—Późno już, Bolo, wracaj więc do swojej baby — poradził kapitan, zerkać na zegarek. — Jutro musisz być na nogach. Postaw też na nogi wydział budownictwa. Jeżeli Szamiłło sama się nie zgłosi, potrzebne będą plany domu. Rozbierzemy willę na kawałki, a musimy tę skrytkę znaleźć — wyciągnął rękę na pożegnanie.

Nowak jednak jak gdyby nie zauważył tego gestu, siedział nadal przy biurku i dziwnie kręcił głową.

—Z tą skrytką coś jest nie tak — rzekł po chwili. — Przecież gdyby Szamiłło wiedziała o niej, od razu dałaby nam znać. W ciągu minuty miałyby wszystko z głowy: męża, sprawy sądowe o podział majątku, lokatorów. Tymek, jeżeli ty zakładasz, że ona zna tę skrytkę, to wyjaśnij mi, dlaczego zataiła ten „drobiazg” przed nami. No?

—Ja po prostu zakładam, że ona jako żona Oteckiego знаła swój dom na wylot. Nic zapewne nie wiedziała o francuskim darze, więc nie uważała za konieczne mówić nam o skrytce, która kiedyś do czegoś mogłaby się jej jeszcze przydać. Tylko tyle, Bolo.

I pożegnał się kiwnięciem ręki.

Nowak, gdy wrócił do domu, czuł się tak źle, że nie zauważył dziwnego zachowania żony. Podała mu odgrzany obiad milcząco, co zdarzało się wyłącznie wtedy, kiedy po jakiejś większej kłótni nastawały „ciche dni”.

—Może byś skoczyła do kogoś i pożyczyła szklanek wódki? — odezwał się pierwszy. — Pieprz też by się przydał.

—Skocz sobie sam — rzuciła ostro.

—A co cię, kobieto, napadło?

—Masz, czego chciałeś, masz! — wybuchnęła z nagłą złością i naraz zaczęła pociągać nosem. — Ty chyba poza pistoletem już nic nie widzisz! Zobaczysz, rodzona matka przeklnie cię zza grobu. — pochlipując podała mu jakieś papiery.

Spojrząwszy na pierwszą stronę od razu zrozumiał, co się stało. Kartka wypadła mu z ręki, nie schylił się jednak po nią.

—Teraz jesteś bogatszy od samego Oteckiego — judziła żona. — Możesz sobie nawet trzy samochody kupić.

—Milcz! — krzyknął zrywając się od stołu. — Przecież ja tego domu nie chciałem! Mnie nie o majątek chodziło! Po jasną cholere! Andrzej zrzekł się tego, co mu zapisała matka! Ja bym go nie włóczył po sądach, nie dochodził swojej części. Po co mi to? Po co! — zrzucił pozostałe papiery ze stołu.

—Nawet nie pożegnałeś się z bratem. Bolo, co z ciebie za człowiek...

—Jak go zobaczę, to...

—Nigdy go już nie zobaczysz — przerwała mu, zaczynając na nowo chlipać. — Andrzej już nie wróci. Wybrał sobie Kanadę. Powiedział mi, że wasza matka chciała go tym domem przykuć do Wydarzyna, dlatego wszystko mu zapisała. Miałeś, Bolo, brata, miałeś, a teraz został ci tylko majątek. Jak ty ludziom popatrzysz w oczy?

—Dlaczego on to zrobił? — spytał jakoś tak bezradnie.

—Mnie o to pytasz? Mnie?! Ja uprawiam marchewkę w ogródku, a nie tę waszą politykę! Do czego to już doszło? Żeby brat z bratem nie mógł się dogadać. Co za naród... A zupy po raz dwudziesty nie będę odgrzewać! krzyknęła już z furją, spojrzawszy na talerz stojący na stole. — Niech cię karmią na posterunku!

Odsunął talerz tak, że bryzgi zupy poleciały niemal na cały stół. Zapalił papierosa i wyszedł przed dom. Usiadł na ławeczce przed gankiem. Słońce już zachodziło, rozpalając nad daleką ciemną linią lasów czerwoną lunę. Zapatrzył

się w odległy horyzont, starając się zebrać myśli. Czuł jednak w obolałej głowie tak wielką pustkę, że mógł tylko patrzeć w ciemniejące niebo.

X

Z prawnego punktu widzenia sprawa była wyjaśniona. Cezary Kraczek oskarżony został o zabójstwo Patrycji Barańskiej i Jana Szula, do czego w końcu się przyznał. Zagarnięcie daru wartości kilkuset milionów złotych przekazanego z Francji dla wydarzyńskiego szpitala nie miało w jego sytuacji już większego znaczenia. Ta sprawa obciążała Witolda Oteckiego, oskarżonego o współudział w kradzieży. Dowody zebrane w trakcie dochodzenia były niepodważalne.

Oteckiemu — jak do końca twierdził w sądzie — zależało wyłącznie na willi i na rozwodzie. Swoje małżeństwo określił jako największy błąd w życiu, nie zamierzał jednak odchodzić z Wydarzyna z pustymi rękami do jakiejś wynajętej kawalerki. Chciał zmusić żonę do sprzedaży willi i podziału pieniędzy, dlatego zaczął szukać znajomych, których mógłby zameldować na stałe, mając jednocześnie gwarancję, że w odpowiedniej chwili wymelduje ich bez kłopotów. Lokatorzy zapewniali mu co najmniej dwu-, trzyletnie władanie willą. Otecki zakładał, że żona nie wytrzyma psychicznie, zrezygnuje z długotrwałych procesów i przyjmie proponowane przez niego warunki. Dowiedziawszy się zaś, że uciekła z Warszawy w nocy przed ogłoszeniem stanu wojennego, skorzystał z tej nader sprzyjającej okazji. Podtrzymywał teścia w przekonaniu, że Martyna jest przez milicję poszukiwana.

Dyrektor miejscowego szpitala, Cezary Kraczek, nie był najodpowiedniejszym kandydatem na lokatora, miał bowiem mieszkanie w Warszawie. Gdy jednak Otecki zaproponował mu dwa pokoje w wydarzyńskiej willi wyjaśniając, o co w tej sprawie chodzi, poszedł mu na rękę.

Otecki do końca utrzymywał, że wtedy nie wiedział jeszcze o przesyłce z Francji i o likwidacji szpitala. Twierdził, że któregoś dnia zauważył w pokoju Kraczka pryzmę paczek, spytał nawet o zawartość, ale otrzymał jakąś wykrętną odpowiedź. Domyślił się ich zawartości dopiero po rozmowie z Patrycją Barańską. Uznał za konieczne wyjaśnić tę sprawę. I wtedy skutek namowy Kraczka

stał się — jak to on określał — poniekąd współnikiem. Jego współudział polegał wyłącznie na niezauważaniu paczek oraz pobraniu trzech milionów złotych, które zresztą później wypłacił swojej żonie na konto spłaty willi. Rozprowadzaniem leków, narzędzi i aparatury zajmował się Kraczek. Obiecał, że najpóźniej za trzy, cztery tygodnie willa będzie idealnie czysta. Wszystko szło sprawnie. I akurat wtedy ogłoszono stan wojenny. W tej sytuacji należało wstrzymać się z rozprowadzaniem. Otecki ujawnił wówczas skrytkę, zapewniając Kraczka, że nikt oprócz niego nie wie o jej istnieniu: nawet Martyna Szamiłło, której nie było w domu w tych dniach, kiedy murarze przywiezieni spod Nowego Targu budowali wnękę przy kuchni sądząc, że ma to być podręczna spiżarka.

Gdy na początku czerwca zauważył wyraźny brak paczek w skrytce, myślał, że Kraczek podjął na nowo sprzedaż. Nie wierzył jego zaprzeczeniom. Śmierć Barańskiej i Szula była dla niego szokiem. Tłumaczył to sobie tragiczną pomyłką. Nie przypuszczał wtedy, że otruł ich Kraczek. Do końca procesu Otecki twierdził, iż nie pojmuje, dlaczego tak się stało i nie wie, jakim cudem Barańska odkryła skrytkę.

Kraczek z kolei przypisywał wszystko Oteckiemu. To nie on wpadł na pomysł zagarnięcia wyposażenia, przeznaczonego dla szpitala. Namówił go właśnie Otecki, gwarantując za odpowiedni udział pełne bezpieczeństwo. Paczki od razu zostały wniesione do zamurowanej i pokrytej dębową boazerią skrytki. Wydawała się idealna i nie do zlokalizowania.

Wszystkie plany pokrzyżowało jednak wprowadzenie stanu wojennego. Barańska, która miała w końcu roku ponownie jechać do Francji, nie wyjechała. Szul zaczął się czegoś domyślać. Kraczek nie przejmował się jego pogrozkami, wiedział, że kupi go sobie nawet kilkutyśiecznymi wypłatami. Obawiał się natomiast Barańskiej. Gdy zorientowała się, w jaki interes została wciągnięta, doszło do bardzo groźnego spięcia. Dużo wcześniej wprawdzie pytała - wiedząc już o zamknięciu szpitala - komu zostało przekazane francuskie wyposażenie, wierzyła jednak jeszcze wtedy zarówno w ich kłamliwe wyjaśnienia jak i obietnicę szybkiego ślubu z Oteckim. Obaj byli przekonani że na tym jednym ostrzeżeniu sprawa się skończy. Ostrzegli bowiem Barańską, że w razie ujawnienia kradzieży ona będzie główną winowajczynią, tą, która wszystko zorganizowała i ich namówiła.

Kraczek — tak przynajmniej zeznawał w sądzie - wpadł w popłoch dopiero gdy naczelnik gminy poinformował go, że jakiś dziennikarz interesuje się zamkniętym szpitalem. To niespodziewane zainteresowanie przypisał inicjatywie Barańskiej. Zaprzeczyła temu, zaś Otecki zlekceważył całą sprawę. Szul zaczął jednak coraz bezczelniej dopominać się o duże pieniądze, Barańska zwróciła Oteckiemu wszystkie prezenty, jakie otrzymała od niedoszłego męża, ale nie wymeldowała się z willi i niemal każdego dnia przyjeżdżała do Wydarzyna.

Martyna Szamiłło dokładała swoje, usiłując sprowadzić do willi milicję. Otecki wpadł wtedy na pomysł „truskawkowej wojny”, co z początku wydawało się bardzo naiwne, niemniej jednak dawało nadzieję, że Szamiłło uzna to za prymitywną podłość i może wreszcie przestanie tak często przyjeżdżać do Wydarzyna.

Gdy odkrył brak kilku paczek w skrytce, był pewien, że Barańska dopięła swego. Może nawet przy pomocy Oteckiego, który właśnie wtedy powiedział mu, że przekazał swojej żonie trzy miliony złotych na konto spłaty willi i nawet pokazał odpowiedni dokument.

Od tego czasu — jak wyjaśniał Kraczek w sądzie — czuł wokół siebie groźną pustkę. Bał się już wszystkich i nikomu nie wierzył.

Wiedział, że w razie ujawnienia kradzieży on, Kraczek, będzie głównym winnym. Tylko on przecież rozprawdzał wśród znajomych francuską przesyłkę

I mimo że już nie ufał współnikowi, postanowił zagrać z nim w otwarte karty. Otecki przekonał go wtedy, że nie jest w zмовie z Barańską. Co więcej — przyznał, że bardzo się jej boi. Tak bardzo, że całkiem serio myśli o rozwiązaniu ostatecznym. I właśnie podczas tamtej rozmowy uznali, że mają już tylko jedno wyjście

Rozpoczęta przez Oteckiego „truskawkowa wojna dawała duże szanse na idealne rozwiązanie. Przygotowali wszystko czekając na sprzyjający dzień. I tak wreszcie nadszedł czas.

Kraczek opisał dokładnie w sądzie, jak o świcie opryskał truskawki w butach i ubraniu używanym przez Szulę do prac w ogrodzie. Na rękach miał przez cały czas rękawice. Nowe butle po preparatach chemicznych spalili w kuchni węglowej. Zapomnieli tylko o jednym: o szklanych opakowaniach alkaloidu, którego użyli do wzmocnienia mieszanki. Zostały w skrytce. Zamierzali jak naj-

szybciej zakopać je, ale nie w ogrodzie przy willi. Kraczek nie mógł wziąć sporej torby z buteleczkami, gdy szedł rano do ośrodka zdrowia.

Namawiał Oteckiego, żeby wyrzucił je gdzieś po drodze do Warszawy. Otecki przyprzypomniawszy mu jednak, że nie są to butelki po piwie czy mleku, nie można więc ich ot tak wyrzucić. Trzeba głęboko zakopać albo nocą spróbować stopić w kuch ni węglowej. To drugie rozwiązanie uznali jednak za ryzykowne. Kuchnia znajdująca się w piwnicy willi nie była przecież przez nikogo używana.

Przy rozbudowie domu Otecki zostawił ten „zabytek” na wypadek braku butli gazowych.

Spalenie kilku opakowań z plastyku nie wymagało rozniecenia takiego ognia, jak stopienie buteleczek szklanych. Otecki obiecał jednak Kraczkowi, że zajmie się „upłynnieniem” opakowań.

Tego dnia Kraczek był tak długo w ośrodku zdrowia, jak tylko się dało

Gdy wrócił do domu. Szul już nie żył Natychmiast zawiadomił milicję. Nastął sądny wieczór, milicjanci wszystko w willi sprawdzali i zabezpieczali. Od nich właśnie dowiedział się, że Otecki wyjechał służbowo do Krakowa. Był przekonany, że buteleczki pojechały razem z nim. Willa została opieczętowana i zaplombowana. Kraczkowi powiedziano, że jeśli nie może jechać do swojego warszawskiego mieszkania, niech wraca do ośrodka zdrowia i tam śpi.

Otecki wrócił z Krakowa dopiero wieczorem w piątek i sam zaproponował milicji, że do czasu sprawdzenia wszystkiego w jego willi może mieszkać u przyjaciół. Nie było to jednak konieczne.

A później — i tego właśnie Kraczek w ogóle nie mógł pojąć — jakoś tak się stało, że zapomniał o tych buteleczkach, które przecież otwierał gołymi rękami. Dziura w mózgu. Może dlatego zapomniał o nich, że w narastającym strachu czekał na „generalną wyspę”. Dopiero bowiem po śmierci Barańskiej przyszło mu do głowy, że mogła się ona jakoś zabezpieczyć.

Wpadł w panikę, kiedy milicjanci ni stąd, ni zowąd przystąpili do „opukiwania” willi, wyraźnie szukając skrytki. Kilka godzin wcześniej rozmawiał bowiem z Grzegorzem Makowskim, który przyjechał do wydarzyńskiego ośrodka zdrowia i zapytał wprost, czy dotarła do niego francuska przesyłka. Udał że o

niczym nie wie. Był jednak przekonany, że Makowski jest właśnie „zabezpieczeniem” Patrycji Barańskiej.

Po wyjściu milicjantów powtórzył Oteckiemu treść krótkiej rozmowy z Makowskim. Otecki wtedy nagle się załamał, a on zrobił to, co zrobił. Był przekonany, że dziennikarz wpuści go do mieszkania. Nie spodziewał się, że o tak późnej porze jeszcze go nie zastanie. Czekał więc na niego w bramie starego domu przy Marszałkowskiej, rozbiwszy przedtem żarówkę u sufitu klatki schodowej. Nie przewidział tylko jednego: że dziennikarz może być karateką. Tylko ktoś tak niebywale zwinny, a zarazem silny, jak właśnie Makowski, mógł w mgnieniu oka uskoczyć w bok, a w następnym ułamku sekundy pozbawić go przytomności.

W czasie procesu Kraczek sprawiał wrażenie chorego psychicznie. Z początku nawet usiłował ratować się „wariackimi papierami”. Biegli sądowi wykluczyli jednak niepoczytalność. Lecz ile razy była mowa o skrytce w willi (którą znaleziono dopiero po zdjęciu podłóg i niemal całej boazerii, po rozebraniu dwóch ozdobnych filarów wieńczących schody prowadzące z dolnego, wielkiego hallu na górę i po przebiciu kilku ścian), Kraczek istotnie sprawiał wrażenie pomylonego. Nie mógł zapewne pojąć, jakim cudem taką skrytkę odkryła Barańska.

Nieprawomocnym wyrokiem został skazany na dwadzieścia pięć lat więzienia. Oteckiego sąd skazał na pięć lat, udowodniono mu bowiem tylko współudział w zyskach z kradzieży na kwotę trzech milionów złotych.

XI

Martyna wyglądała doskonale. Zwiewna sukienka, fantazyjnie upięte włosy, staranny makijaż sprawiały, że wydawała się dużo młodsza. Zachowywała się zresztą tak, jak gdyby jej wręcz zależało na zachwytach i komplementach. Rozległy ogród po którym wolno spacerowała z Grzegorzem choć zaniedbany, mienił się wszystkimi kolorami jesieni. U sąsiada palono zeszlę łodygi, dym z ogniska snuł się nisko, zapowiadając bliski deszcz. A Martyna niemal szczebiocząc wyjaśniała, co i jak zamierza zmienić w swojej posiadłości wydarzyńskiej.

—Męża ci jeszcze tylko do szczęścia brakuje — sarkastycznie podsumował Grzegorz. — No, ale z takim majątkiem pewnie długo nie będziesz czekać.

Nie zdążyła ukryć niemiłego zaskoczenia.

—Dobrze wiesz, że nie rozglądam się za tym szczęściem — odpowiedziała chłodno. — Przyniosę kawę na taras. Może i wina się napijesz, co? Kupiłam wczoraj z okazji twojej wizyty. W końcu przecież nie widzieliśmy się tak długo. Myślałam, że będziesz w lepszym nastroju. Przynieść wino?

—Mnie wsio rawno — stwierdził niedbale.

Gdy szła do domu, patrzył na nią niemal wrogo. Obiecywał sobie, że już nigdy o nic nie będzie jej pytał. Chciał o wszystkim zapomnieć. I ciągle miał nadzieję, że z czasem Martyna stanie się na powrót tą kobietą, którą tak cenił, z którą go tak wiele łączyło. Wiedział, że nikt niczego jej nie zarzuca. Po zamknięciu dochodzenia i przekazaniu sprawy do sądu rozmawiał z komendantem miejscowego posterunku i z kapitanem Niziołkiem. Uzyskał pozwolenie na przejrzanie akt po wydaniu nieprawomocnych wyroków. Zabrał się nawet do pisania obszernego reportażu, zrezygnował jednak. Uznał bowiem, że skoro nie może napisać całej prawdy, nie powinien w ogóle pisać.

—Hej, Grzegorz, wołam cię i wołam! Czy ty śpisz? — usłyszał głos Martyny. — Chodź na taras, kawa stygnie.

Kiwnął jej ręką, wstał z trawy i rozejrzał się wokół, jak gdyby uprzytamniając sobie, gdzie jest. W końcu zaczął powoli iść w kierunku willi zastanawiając się, czy ma ją minąć, czy też może jeszcze napić się kawy przed pożegnaniem Martyny na zawsze.

—No, siadaj — zachęciła, podsuwając wiklinowy fotel.

Stał wpatrując się w kolorową mozaikę tarasu.

—Martyna — rzekł wreszcie — co było w tym zalakowanym pakunku, który zostawiłaś u mnie?

Nie wyglądała na zaskoczoną, ale i też wyraźnie nie miała zamiaru odpowiedzieć.

—Ty o wszystkim od samego początku wiedziałaś — nie pytał, lecz stwierdzał.

—Nie o wszystkim — zaprzeczyła. — Kiedy powiedziałeś mi w leśniczówce o zamkniętym szpitalu i o dziwnie dobranych lokatorach w moim domu, zaczęłam podejrzewać grubszą aferę. Myślałam jednak, że jest to całkiem inna sprawa. Wiedziałam, że nasz szpital miał dostać uzupełnienie wyposażenia z darów zagranicznych. Nie wiedziałam natomiast, że to właśnie Barańska organizowała tę przesyłkę. To mi w ogóle nie przyszło do głowy. Dlatego z początku szukałam w ciemno wszędzie tam, gdzie odbierano przed stanem wojennym „zrzuty”. Nie chciałam, przyznaję, żebyś włączał się w te sprawy. Bałam się, że gdzieś coś niechcący powiesz, a przecież sądziłam, że afera jest w stylu lat siedemdziesiątych: dyrektorzy, naczelnik, może sam minister albo jeszcze i ktoś wyższy. Co do naczelnika — byłam nawet na sto procent pewna, bo i niby dlaczego miał aż tak dalece iść na rękę Oteckiemu, wymeldowując mnie z rażącym naruszeniem przepisów? Bardzo się go bałam, nie przypuszczałam, że jest to pionek przesuwany na szachownicy łapami obu dyrektorów. Myślałam, że stoją za nim dużo wyższe figury. Gdybym od razu wiedziała, że Otecki z Kraczkim gwizdnęli konkretną przesyłkę...

—Wtedy Barańska i Szul nie otruliby się truskawkami. Leśniczy Śliwiński miał rację. Czy ty przynajmniej czujesz gorzki smak swojej zemsty?

—Mimo to nie czuję się winna ich śmierci — odpowiedziała patrząc Grzegorzowi prosto w oczy. — Te truskawki były przeznaczone dla mnie. Nie dla nich, jak chyba do tej pory sądzi Kracek. Czy to moja wina, że dał się „wpuścić w maliny” przez mego byłego małżonka? A skoro ktoś tam — wskazała ręką niebo — podsunał mi spory kamień pod paluch właśnie wtedy, kiedy miałam zamiar opłukać truskawki i zjeść je wszystkie, to widocznie tak musiało być. Nawet gdybym chciała, nie potrafię czuć się winna ich śmierci.

I znowu zamilkła, patrząc na pola zasnute przedwieczorną mgłą jesienną, pomieszaną z dymem z palenisk. W pobliskim brzeziniaku rozwrzeszczały się nagle ptaki, wzleciały chmarą w górę i poczęły kołować, szykując się pewnie do odlotu.

Martyna ocknęła się z zamyślenia.

—Kawy możesz się napić, nie jest zatruta — rzekła chropowatym głosem, próbując uśmiechnąć się przy tym. — Wieczór już blisko...

—Chcę tylko to jedno wiedzieć — przerwał jej twardym tonem. — Muszę wiedzieć. Postaram się zrozumieć.

Milczała.

—Otecki kłamał, prawda? — nie rezygnował. — Wiedziałaś, gdzie jest skrytka? Okłamał Kraczka zapewniając go, że tylko on jeden zna skrytkę? Nie ciebie bronił w sądzie, lecz własnej skóry. Dlaczego nic o tym nie powiedziałaś w sądzie?

—A co to by zmieniło? — spytała głucho. Wyglądała tak, jak gdyby w ciągu tych kilku chwili postarzała się o dziesięciolecia. — Co by to, Grzegorz, zmieniło? Jak udowodnisz Oteckiemu, że chciał rękami Kraczka otruć przede wszystkim mnie? No, jak? Przecież to nie on spryskiwał truskawki, lecz Kraczek. On niczego nie kradł, nie dotykał, nie sprzedawał, nie truł! To tylko Kraczek, Kraczek, Kraczek! Co się zmieni, jeśli ci powiem, że znałam skrytkę, udało mi się wejść do domu, zobaczyć, co tam jest i zabrać kilka paczek? Co się zmieni, jeśli pójdę na posterunek i powiem o tym? Nic, Grzegorz, absolutnie nic. Otecki tylko pociągał za sznurki, a tego nikt mu nie udowodni. Nikt. Udowodnisz mu?

—Masz odcinki z Poczty Głównej, te na paczki?

—Mam — przyznała opuszczając bezradnie ręce. — Ale co z tego? Paczki wysłałam dopiero w tym dniu, kiedy zatruto truskawki. Miałam wreszcie dowód, że trafiłam celnie. Poszli na całość. Myślałam jednak, że cała ta czwórka współdziałała ze sobą ręka w rękę. Odcinkami pocztowymi nie udowodnię, że Otecki wiedział, kto dobrał się do skrytki i dlatego postanowił mnie otruć. Grzegorz, zrozum to wreszcie, nie mam żadnych świadków oprócz mojego byłego męża, że znałam tę skrytkę. On by zaprzeczył, a ja wyszłabym w sądzie na mszczącą się żonę.

—Udowodnisz to odcinkami pocztowymi.

—Odcinkami mogę teraz co najwyżej skazać się na kilka lat więzienia. Za późno. Powinnam była od razu zawieźć te paczki na posterunek. Ja jednak nie wiedziałam wtedy jeszcze, skąd to pochodzi i kto w tę sprawę jest zamieszany.

—W dniu śmierci Barańskiej i Szula też jeszcze nie wiedziałaś, a mimo to wysłałaś paczki — przypomniał Grzegorz.

—Po pierwsze tamtego dnia nie wiedziałam, że oni się otrują. Mijałam ich w bramie żywych. Zrozumiałam wtedy tylko jedno: moje „podchody” już się skończyły. Byłam wystarczająco mocno przestraszona. Wysłałam paczki na tak zwany wszelki wypadek, gdyby im, to znaczy całej tej czwórce z willi, udało się ukatrupić mnie przed czasem. Zostawiłam sobie zdjęcia zawartości tych paczek. Odbitki dałam kilku moim znajomym, którzy przed stanem wojennym pracowali w punktach odbioru darów zagranicznych.

—Dlaczego jednak zakładasz, że wszyscy będą wierzyć Oteckiemu, a tobie nie?

—A co by się zmieniło, gdyby uwierzyli mnie? Jak udowodnię, że Otecki stał o świcie na straży, kiedy Kraczek spryskiwał truskawki? Czy ty nie rozumiesz, że mój były mąż wcale nie zapomniał o tych szklanych buteleczkach po alkaloidzie? Grunt zaczął palić im się pod nogami, Otecki postanowił więc tak się zabezpieczyć, żeby być jak najmniej winnym. Dlatego wmanewrował Kraczka w tę zbrodnię. Liczył pewnie na to, że będą trzy trupy. Zrozum — Kraczek nie miał żadnego powodu kogokolwiek mordować. Miliony milionami, lecz jest zasadnicza różnica między, powiedzmy, dziesięcioma latami więzienia a karą śmierci. Wiesz przecież, że prokurator wniósł rewizję i żąda dla Kraczka kary śmierci. A Otecki...

—On też, logicznie myśląc, nie miał żadnego powodu kogokolwiek truć —. zauważył Grzegorz.

—On przecież nikogo nie otruł! Wmanewrowując Klaczka w tę zbrodnię na pewno liczył na to, że przejdzie wersja o tragicznej pomyłce pijanego Szula. Jestem jednak przekonana, że w ten właśnie sposób zabezpieczał się również na wypadek, gdyby wyszła na jaw kradzież francuskiego daru. Ponieważ nie padłam trupem, napuścił Kraczka na ciebie. Bo im więcej złego czynił Kraczek, tym mniej winnym stawał się on, Otecki. Pięć lat utraty wolności za współudział w zyskach z kradzieży dokonanej przez kogo innego, to i tak dużo. Facet po prostu się skusił, rozumiesz? Okazja uczyniła z niego złodzieja.

—A może tak właśnie było? Może rzeczywiście tylko dał się skusić?

—Ano. widzisz Grzegorz, sam widzisz — pokiwała głową, rozkładając szeroko ręce. — Nikt mu nie udowodni, że to właśnie on wszystko organizował i

wszystkimi manipulował. Ja wiem, że tak było, bo go bardzo dobrze znam. Kraczek zresztą sam by tego nie wymyślił. Rozumiesz?

—Zaczynam rozumieć — rzekł po dłuższym namyśle. — Przegrałaś na całej linii — podsumował smętnym tonem. — Bo chyba nie o majątek ci chodziło, nie o ten dom, ani nawet o zemstę.

—Niestety, przegrałam. Miejscowi mieli rację mówiąc mi, że na takich, to i ja, redaktorka, jestem za słaba.

—No, cóż... — Grzegorz znaczącym gestem rozłożył ręce. Lecz nagle nieoczekiwanie spytał: — Gdzie jest to wino?

—Naprawdę chcesz?

—A cóż nam innego pozostało? Możemy się tylko upić.

—Jedną butelką wina?

—Wystarczy. Mnie i tak mocno kręci się już w głowie. Głupio to rozegrałaś, Martyna, głupio, a miałaś przecież mnie w zapasie. Nie zapomnij o tym w przyszłości.

—Nie zapomnę, Grześ, ale na razie zajmę się tym, co wyłącznie ode mnie zależy: domem, ogrodem... Może założę hodowlę psów rasowych...

—Dziecko by ci się przydało.

—Wiem. Trochę już wprawdzie za późno, ostatni dzwonek dla mnie, ale może mi się poszczęści i spotkam kogoś takiego, jak ty...

—Przecież powiedziałem ci wyraźnie, że mnie zawsze masz w zapasie.